

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

LISTOPAD 2022/6

[magazynhisteria.pl](http://magazynhisteria.pl)



BABSKI WIECZÓR  
BILET W JEDNĄ STRONĘ  
DAWNE ZNAJOMOŚCI  
MIĘSO  
NIE PATRZ!  
OJCIEC UBIŁ PSA  
PRZYSZLI Z PUSTKOWIA  
Z ŻAŁU  
ZAKOCHANA MARIONETKA  
ZAMEK WSKRZESZENIA

# SPIS TREŚCI:

BABSKI WIECZÓR Urszula Skorodziłło	3
BILET W JEDNĄ STRONĘ Marta Magdalena Lasik	9
DAWNE ZNAJOMOŚCI Igor Kręt	19
MIĘSO Piotr Józefowicz	25
NIE PATRZ! Sandra Gatt Osińska	37
OJCIEC UBIŁ PSA Szymon T. Cwen	43
PRZYSZLI Z PUSTKOWIA Grzegorz S. Reiwer	49
Z ŻALU Martyna Wróbel	55
ZAKOCHANA MARIONETKA Justyna Bendyk	64
ZAMEK WSKRZESZENIA Krzysztof Marciński	71

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka:** Joanna Widomska

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Ilona Bielicka, Marcin Czarnecki, Halmar, Krzysztof Kowalik,  
Roman Panasiuk, Zvyrke

**Korekta:** Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



# BABSKI WIECZÓR

Urszula Skorodziłło

– Plan na dzisiejszy wieczór jest prosty – powiedziała Liza, czekając, aż się rozbiore. – Wypijemy trochę wina. Ponarzekamy na życie. Obejrzymy jakiś głupi film, w którym wszyscy na koniec żyją długo i szczęśliwie.

– Nie zapomnij o pizzy! Potrzebuję alkoholu, glutenu oraz mnóstwa zbędnych kalorii!  
– krzychał ktoś z drugiego końca mieszkania, wymachując swoim kieliszkiem wina.

– Tak, tak... Mam nadzieję, że chociaż ty nie masz teraz jakiś dziwnych wymagań, bo już wszystko jest zamówione. – Liza spojrzała na mnie znacząco. Wzięła ode mnie płaszcz i schowała go w szafie.

– Nie. Jestem raczej wszystkożerna.

– Wspaniale. Białe czy czerwone?

– Czerwone. Co u Mikołaja?

– Wszystko w porządku. Wygoniłam go na wyjazd z chłopakami w góry, więc mamy dom dla siebie.

Liza powoli wypełniała mój kieliszek krwistym trunkiem, ale tylko do najszerszego punktu naczynia. Gdy odstawiła butelkę, jedna mała kropelka spadła na biały dywan pod nami.

– Szlag! Trzymaj, pójdę po coś, żeby to wybawić.

Przeszła obok mnie w kierunku łazienki, zostawiając mnie samą wśród reszty towarzyszek naszego babskiego wieczoru. Znałam je głównie z widzenia lub luźnych opowiadań Lizy. Stałam w miejscu i czułam się nieco nieswojo. One siedziały teraz w trójkę rozłożone na kanapie, żywo ze sobą rozmawiając o jakiejś innej wspólnej znajomej, której ja nie znałam. Pokonując w sobie resztki lęków, podeszłam bliżej, po czym usiadłam na skraju kanapy. Zanurzyłam usta w trunku, udając, że nie czuję się w tym miejscu jak impostor.

– Alicja, prawda? – usłyszałam z prawej strony i nagle się ocknęłam. Odwróciłam się w tym kierunku, żeby zobaczyć wpatrzone we mnie cztery twarze zdobione bogatym makijażem. – Przepraszam. Jestem niezwykle słaba w zapamiętywaniu imion, ale nazywasz się Alicja, prawda?

– Tak.

– Lizieeee... – Przypomniało mi się, jak Lizi kiedyś bardzo nie lubiła, jak ktoś tak mocno przeciągał jej imię. – ...opowiadała coś o tym, że jesteś artystką.

– O! Naprawdę?! – wystrzeżiła inna twarz. – Co takiego ciekawego tworzysz?

– Maluje. Obraz w korytarzu jest jej autorstwa – mówiła Lizy, klęcząc ze szmatką nad rozlaną kroplą.

– Ten czerwony? Zawsze przechodzą mnie dreszcze, kiedy obok niego przechodzę. Nie wiem czemu, ale pewnie tak właśnie powinna działać na nas prawdziwa sztuka.

– To nic wielkiego – powiedziałam.

– Jak zwykle porządni artyści umniejszają swoje dzieła. Wystawiasz się gdzieś?

– Nie. Już nie. Porzuciłam to.

– Co?! Czemu?! – Lizy porwała się z kolan w drugim krańcu pokoju. – Co się stało? Nic nie mówiłaś.

– To chyba nie dla mnie. Kiedyś trzeba było zejść na ziemię i zacząć na siebie zarabiać.

– Bzdura! – powiedziała któraś z dziewczyn. – I zaprzepaszczając swoje marzenia?! Van Gogh też przymierał głodem.

– No tak, ale...

Dziewczyny zaczęły dyskutować zaciekle o sztuce, jakby były największymi ekspertkami i zarobkach w tych dziedzinach. Ja miałam ochotę stąd wyjść. Nawet nie wiem, czemu dałam się na to namówić. Chciałam spróbować czegoś innego. Spróbować żyć jak inne boty na tym świecie. Uciec w rzeczywistość od tego, co czaiło się wciąż w mojej głowie. Nawet nie lubiłam Lizy, ale była zawsze taka normalna i chciała ze mną przebywać z jakiegoś powodu, więc wciąż się z nią zadawałam.

Przeprosiłam dziewczyny i skierowałam się w stronę łazienki. Zatrzymałam się na chwilę za rogiem z myślą, że będą mnie obgadywać, ale nic takiego się nie wydarzyło. Przeszłam kilka kroków dalej i stanęłam przed moim obrazem. Na czerwonym tle leżały cztery postaci wokół kolejnej piątej w pół wybudzonej na samym środku. Nigdy nie lubiłam tego obrazu. Malując go byłam jak w transie, a kiedy go skończyłam drżałam, jakbym się wybudziła z koszmaru. Lizie natomiast bardzo się spodobał, więc chętnie się go pozbyłam. Obraz miał w sobie pewien magnetyzm, który mnie do niego przyciągał. Ledwo mogłam oderwać od niego wzrok. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Od dawna się tak nie czułam. Pobiełam do łazienki. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o zlew, próbując zebrać myśli, które zaczęły nagle krążyć po mojej głowie. Nie potrafiłam nad nimi zapanować. Opłukałam twarz zimną wodą, ciesząc się, że jednak postanowiłam się nie malować. Spojrzałam na swoją bladą twarz w lustrze. Otworzyłam szafkę zza lustrem, licząc, że znajdę w niej jakieś proszki na ból głowy. Niestety wśród fiolek różnych specyfików, udało mi się rozpoznać jedynie tabletki na sen, więc zamknęłam szafkę. Stałam tak jeszcze przez chwilę. Chciało mi się wymiotować, ale nie potrafiłam nawet tego z siebie wykrzesać.

– Alicja! – Czyjś głos przebijał się do mnie przez drzwi. – Wszystko w porządku?

– Tak – powiedziałam resztkami sił. – Zaraz wyjdę.

– Okey. Choć. Pizza już przyjechała.

Zebrałam się i jeszcze raz spojrzałam na siebie w lustrze. Powoli uśmiechnęłam się do swojego odbicia, chcąc dodać sobie otuchy. Wytarłam ręce i nie dając nic po sobie poznać, wyszłam. Odwracając głowę od obrazu, wyszłam do salonu, gdzie powitał mnie aromat gorącego ciasta i pomidorów. Wypiłam duszkiem resztkę wina ze swojego kieliszka.

– Ktoś jeszcze ma ochotę? – zapytałam dziewczyny z szerokim uśmiechem, podchodząc do butelki znajdującej się na stoliku z boku. Uniosło się kilka radosnych rąk.

\*\*\*

Czując szum w głowie, wiedziałam, że to będzie ciężki poranek. Wydawało mi się, że byłam czymś oblepiona od czubka głowy po stopy. Leżałam na brzuchu chyba w tej samej sukience, w której poszłam na wieczór, a sklezione włosy opadały mi na nos. Buty najwyraźniej zgubiłam gdzieś po drodze. Powoli zaczęłam nieco głębiej myśleć, marszcząc czoło. Każdy kolejny ruch sprawiał mi cierpienie. Nie mogłam sobie przypomnieć, co się wczoraj wydarzyło, ani jak się znalazłam, gdziekolwiek teraz byłam. Zastanawiałam się też, jak mogłam doprowadzić się do takiego stanu, pijąc wino. Nigdy wcześniej mi się coś takiego nie przydarzyło.

Nagle usłyszałam czyjś stłumiony krzyk za sobą. Coś upadło na ziemię z hukiem. Po chwili szybkie kroki okrążyły mnie i podbiegły do czegoś umiejscowionego przede mną. Potem pojawiło się jakieś szemranie. Ponownie pojedyncze krzyki i szloch. Każdy dźwięk mnie ranił.

Bardzo powoli zaczęłam mrugać powiekami. Otworzyłam oczy i zobaczyłam przed sobą białe, ledwo wyraźne włókna dywanu, które już nie były białe. Zabarwione zostały czerwoną substancją. *Wino*, pomyślałam. Obraz, który widziałam, zaczął nabierać coraz większej ostrości. Zobaczyłam swoją rękę pokrytą zaschniętą, czerwoną mazią. Podobnie opadający kosmyk moich blond włosów teraz był czerwony. Przeszłam wzrokiem w kierunku jedynych dźwięków w tym pomieszczeniu. Na kanapie siedział mężczyzna, który szlochając wtulał twarz w Lizę, a przynajmniej tak mi się wydawało. Jej nieruchoma ręka z profesjonalnie zrobionymi paznokciami bezwładnie opadała, prawie dotykając podłogi. Odwróciłam wzrok w przeciwnym kierunku. Ujrzałam kolejne bezwładne kończyny i ciała.

Bardzo powoli zaczęłam łączyć ze sobą fakty. Głośno nabrałam powietrza i gwałtownie krzyknęłam. Podniosłam się na kolana, bo na więcej nie miałam sił i doczołgałam się do ściany z dala od ciał moich wczorajszych towarzyszek i mężczyzny, który właśnie przyszedł. Zerknęłam na niego. Wpatrywał się we mnie nieruchomo, w szoku, jakby nie wierzył, że wciąż żyję. Delikatnie odłożył głowę Lizy na kanapę. Uniósł rękę. Podszedł krok do przodu, ale po chwili się zawahał. Wyciągnął telefon. Pokazał trzy cyfry. Coś mówił, ale go nie słyszałam. Spanikowana siedziałam pod ścianą, nie mogąc się zdecydować na walkę lub ucieczkę. Przyszło więcej osób. Ktoś wciągnął mnie na nosze i do karetki. Potem odpłynęłam.

\*\*\*

Policjant naprzeciwnie nie był zachwycony moimi zeznaniami. Ponownie po kilku tygodniach przyszedł do szpitala, licząc, że sobie coś przypomniałam i będę w stanie powiedzieć nieco więcej o przebiegu zdarzenia. Ja jednak miałam czarną plamę w miejscu tamtego wieczoru.

– Wszystkie piłyście wino, prawda? – zapytał kolejny raz zrezygnowany.

– Tak.

– Skąd je wzięłyście?

– Nie mam pojęcia. Kiedy przyszłam wszystko już było przygotowane.

– Któraś z was odchodziła z nim dalej?

– Nie! Po co w ogóle takie pytania o wino?! Przecież ktoś wpadł do tego domu i nas zaatakował, a wy zamiast go szukać, interesujecie się jakimś przeklętym winem bez żadnego powodu!

Policjant odczekał chwilę, pozwalając opuścić mi nieco złość.

– Czy możesz mi jakoś wyjaśnić, jak w waszej krwi oraz w resztkach wina mogły znaleźć się środki nasenne? – powiedział spokojnie.

– Co?! Jak to środki?

– Wyszły w badaniach...

– Jak to?! Ktoś nas nafaszerował, a potem chciał wyróżnić?!

Siedziałam na szpitalnym łóżku całkowicie skołowana. Policjant coś tam jeszcze mówił, ale nie chciałam już go za bardzo słuchać.

– Co myślisz o Mikołaju? – Nagle do mnie dotarł jego głos. Odwróciłam się gwałtownie w jego stronę.

– To nie mógł być on! – powiedziałam zdecydowana.

– Dobrze go znasz? Ok... – dodał, widząc, że nic mu nie powiem. – Nie wiesz o nim wszystkiego. Nie był na wycieczce w górach, tylko włóczył się po barach w okolicy. Ostro pokłócił się dzień wcześniej z Lizą i z tego, co wiemy ostatnio było to standardem w ich związku.

– To nie był on.

Policjant z rezygnacją kiwał nade mną głową. W tym samym momencie tuż za nim, za szklaną, szpitalną ścianą pojawił się Mikołaj. Kiedy przyszedł pierwszy raz czułam się nieco nieswojo. Wcześniej właściwie nie rozmawialiśmy. Później jednak złapaliśmy kontakt

i okazało się, że mamy ze sobą więcej wspólnego niż jedynie ta tragedia, dlatego widywaliśmy się lub gadaliśmy niemal codziennie.

– To nie mógł być on... – powtórzyłam pod nosem. – Nie mógł...

\*\*\*

– Przyniosłam tort. – Patrzyłam przyjaźnie na Mikołaja, który właśnie otworzył mi drzwi.

– A z jakiej to okazji? – zapytał.

– Przeprowadzkowe. Uznałam, że możemy świętować twój nowy etap w życiu.

Uśmiechnął się pod nosem.

– Wejdz. Pokroisz? Kuchnię już rozpakowałem. Chyba, że mam jeszcze świeczki zdmuchnąć? – Zaczął się śmiać.

– Spokojnie. Tego akurat nie kupiłam.

Przeszłam wprost do kuchni, mijając pudła wypchane różnymi przedmiotami. Rozłożyłam pudełko i przełożyłam tort na jeden z talerzy. Sięgnęłam po nóż i precyzyjnie dzieliłam ciasto na mniejsze trójkąty. Minęło już kilka miesięcy od tamtego tragicznego wieczoru. Policja nadal nie potrafiła wskazać sprawcy tragedii. Ja i Mikołaj natomiast coraz lepiej się ze sobą dogadywaliśmy. Razem pomogliśmy sobie wyjść z tragedii i powoli zaczęliśmy myśleć o przyszłości, w tym chociażby o jego wyprowadzce z tamtego miejsca. Kiedy skończyłam kroić, przeniosłam tort do salonu. Przypomniało mi się o talerzykach i już miałam po nie pójść, kiedy usłyszałam Mikołaja z sypialni.

– Ciekawe – powiedział.

– Co takiego? – Powoli zaczęłam iść w jego kierunku.

– Zawsze wydawało mi się, że na tym obrazie było pięć postaci. – Wskazał mój czerwony obraz.

– Nie wiedziałam, że go też zabrałeś! – Ledwo na niego spojrzałam. – Tak. Zawsze było pięć postaci. Jedna w środku, cztery w okręgu – dodałam zła.

– No właśnie! Nie! Nie o to mi chodziło. Teraz jest pięć w okręgu.

– Co?! – Podeszłam bliżej i przyjrzałam się dokładniej obrazowi.

– Faktycznie! Jak mogłam tak się pomylić?! Przecież moje dzieło...

Odwróciłam głowę w kierunku Mikołaja i zobaczyłam, jak moja dłoń wbija nóż z okruskami tortu w jego tętnicę.





# BILET W JEDNĄ STRONĘ

Marta Magdalena Lasik

Za oknem króluje szarość. Monotonna i depresyjna zapowiada rychły deszcz. Kazimierz wie o tym. Bardzo chciałby się mylić, ale nie ma cienia wątpliwości – będzie lało. Dlatego czeka, aż krople wykrzywią świat po drugiej stronie i wsłuchuje się w stukot pociągu pędzącego przez szary kraj.

To stary skład. Żaden z tych francuskich wyprodukowanych w Hiszpanii, tylko klasyczny z wagonami 112A, a może At?, w którym ludzie nie siedzą wszyscy razem i nie podsłuchują się wzajemnie. W dodatku tu nie potrzeba rezerwacji i nie jest się przywiązany do jednego miejsca, dlatego kiedy ktoś odsuwa drzwi i zagląda do przedziału, Kazimierz stara się wyglądać nieprzyjaźnie, wręcz odpychająco. To działa. Pociąg jest niemal pusty, więc ludzie

idą dalej, a on czeka, aż pojawi się ta jedna jedyna osoba. Może ją również zdoła odstraszyć? Nie jest w stanie jej opisać. Tu nie chodzi o wygląd, ale o coś mniej uchwytneho. Czasami wystarczy spojrzeć na kogoś, aby go poznać i przekonać się, że śmierć siedzi mu na ramieniu. Młody czy stary, kobieta czy mężczyzna – to bez znaczenia. To tkwi w aurze, we krwi, we wszystkim, a tacy jak Kazimierz są na to wyczuleni. Nie z urodzenia, nie z własnej chęci, ale dlatego, że zbyt wiele razy widzieli kostuchę czekającą przy torach.

Zgrzyt wyhamowującego składu rozrywa jego skupienie. Rozbija w drobny mak spokój i budzi niecierpliwość. Znów się zatrzymają. Ludzie będą wysiadali i wsiadali. Czy ta osoba tam będzie? To pytanie gnębi go na każdej stacji.

Zaciska pomarszczone dłonie na materiale spodni i drży.

Do przedziału wlewa się hałas z korytarza. Przez zaciągnięte granatowe zasłonki Kazimierz nie widzi, co się tam dzieje, ale ludzie na pewno przeciskają się wąskim przejściem, aby z ulgą wypaść na peron. Nawołują jeden drugiego i zaraz uciekną do swojego życia.

– Idźcie, odejdźcie – mamrocze.

Chce być sam i najchętniej daleko stąd – w domu, z Ireną – ale nie mógł odmówić, uniknąć wyjazdu czy znaleźć innego środka transportu. Próbował, naprawdę, ale się nie udało; przeznaczenie, a może po prostu pech – jeden pies.

Ktoś wybucha śmiechem, coś upada z hukiem. Czas zwalnia tak bardzo, że Kazimierz z trudem to znosi.

– Odejdźcie. Potknijcie się na schodach, połamcie nogi spadając na platformę, tylko nie wchodźcie tu, nie wracajcie – szepcze pod nosem ze wzrokiem utkwionym w drzwiach i nieświadomy swoich słów.

Przerywa mu kliknięcie, wpycha złe myśli w głąb świadomości i nakazuje milczenie. Szczelina powiększa się, aż widać w niej nie tylko skrawek kurtki, a całą osobę i wszystko jest nie tak, jak być powinno.

– Wolne?

Jest wysoka, szczupła i dziwnie zbudowana. Nie jest brzydka, ale nie kogoś takiego widzi się oczami wyobraźni, gdy ktoś mówi: wysoka blondynka. Jej włosy są długie i w nieładzie od wiatru dującego na zewnątrz. Ubranie ma mokre, dopasowane i w odcieniach zieleni. W to szare popołudnie razi oczy niczym słońce.

Kazimierz przygląda się jej z powątpiewaniem, ale tak, to będzie ona i to go przeraża, bo w najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczał, że przyjdzie tu młoda dziewczyna.

Mogłaby być jego córką i myśl o tym go paraliżuje. Nie, jeśli to ona wejdzie do przedziału, to on nie da rady.

To koniec.

Dziewczyna nie czeka na odpowiedź. Zasuwa za sobą drzwi, spogląda na półkę nad siedzeniami i Kazimierz podnosi się z miejsca, zanim w ogóle to do niego dociera. Pomaga jej włożyć walizkę na górę, choć może nie powinien, bo dziewczyna patrzy na niego nieco krzywo, a sam bagaż jest bardzo lekki. Zupełnie jakby wiozła w nim tylko powietrze. Kazimierz uśmiecha się, nie komentuje i to chyba jest dobre, bo dziewczyna rozluźnia się, odwzajemnia uśmiech. On wraca na swoje miejsce, a ona bardzo ostrożnie kładzie kurtkę na siedzeniu obok siebie; w rogu przedziału przy drzwiach i tyłem do kierunku jazdy. Kazimierz śledzi jej ruchy, patrząc na barwne odbicie w oknie, za którym świat rozpada się na nierówne szkiełka starego kalejdoskopu. Widzi jak siada, jak wyciąga niewielką książkę z pozaginanymi rogami czerwonej okładki. Czy to romans? Nie wygląda na osobę czytającą romanse, ale kto wie? Albo fantastyka? Nie jest w stanie dostrzec tytułu, poddaje się.

Może w sumie zapytać.

Trochę go to przeraża.

On zaczynający tę rozmowę, wdający się w konwersację z Nią – niepokój wstrząsa nim ledwie zauważalnie.

– Przepraszam. – Słowa formują mu się na języku w chwili szaleństwa. Błąd. Miał ją odstraszyć, a jego głos zabrzmiał niemal przyjaźnie. Jest głupcem i teraz musi mówić dalej. – Co takiego pani czyta, jeśli można wiedzieć?

Ona spogląda na niego. Jej spojrzenie jest ostrożne, kalkulujące.

Analizuje siebie, jego i swoje dotychczasowe wybory, bo przecież są dwójką nieznanym sobie ludzi, a różne rzeczy mówi się o pociągach i nieznanym. Po świecie krążą mroźące krew w żyłach historie, więc kto wie co może się zdarzyć – Kazimierz próbuje odgadnąć jej myśli. Z drugiej strony, przecież ona jest tu, aby go zabić. On będzie się bronił i ktoś na pewno zginie, chyba że się pomylił...

– Powieść o kolei transsyberyjskiej. Taka trochę bardziej dzika historia niż te z Orient Expressu.

Istnieje pewnikiem powód, czemu opisała fabułę, a nie podała mu tytułu. Może zrobiła to, aby uczynić kolejne pytanie zbędnym, zaskoczyć go i uciszyć? A może tytuł to coś wstydliwego? A może zrobiła to, aby wciągnąć go w dyskusję? Może książka jest o czymś nijakim, a ona powiedziała, że traktuje o podróży pociągiem, bo oni są w pociągu i pociąg jest jedyną rzeczą, która ich łączy – punktem wyjścia i końcem.

– Pociągi?

Dziewczyna śmieje się w odpowiedzi i co to jest za dźwięk! Cichy, ale tak żywy, że na moment kradnie Kazimierzowi oddech. Może powinien się poddać jej energii? Nie walczyć?

– Tak. Długa droga przez Syberię i życie w składzie toczącym się po zbrukanych krwią więźniów torach. Przyjaźnie, miłości i dramaty zamknięte w niewielkiej przestrzeni wagonów. Z Moskwy do Władywostoku jedzie się wiele dni.

Potrzeba nieco ponad dziewięciu godzin, aby ich pociąg dotarł z pierwszej na ostatnią stację, ale są już opóźnieni o kwadrans. Pociągi dalekobieżne są w stanie odzyskać do dwudziestu minut, więc może przyjadą o czasie, choć raczej nie i dla jednego z nich nie będzie to miało znaczenia.

– Kolej transsyberyjska jest równie legendarna co Orient Express – stwierdza dziewczyna, a on się z nią zgadza.

Świat za szybą sływa jak na obrazach Dalego. Domy przy torach coraz bardziej przypominają własne karykatury, wyrwane z monochromatycznego koszmaru. Na uszczelce zbiera się woda. Wielka kropla zaraz oderwie się od niej i spadnie z głuchym uderzeniem, które utonie w turkocie kół wagonu. W przedziale robi się chłodniej i ciemniej, a jednak dziewczyna nie próbuje zapalić światła. Czy na pewno chce czytać książkę?

Nie. Jest pewien, że nie. Kuli się w sobie, ale nie może powstrzymać od zerkania na nią raz po raz czy to kątem oka, czy to patrząc uważnie w odbicie w oknie i łowiąc w nim cienie. W dziewczynie jest pewność siebie, która sprawia, że wszystko inne ustępuje jej pola.

– U nas nie ma takich pociągów.

Jej głos sprawia, że oddech więźnie mu w gardle.

– Są różne historie o magicznych pociągach, ale tym właśnie są: historiami i niczym więcej. O pociągach podróżujących wskroś czasu, o opętanych lokomotywach. – Znowu śmieje się dźwięcznie, a on milczy. – Znasz jakieś?

Jest od niego sporo młodsza i może powinien się obrazić, że mówi do niego tak bezpośrednio, ale nie jest w stanie. Tańczy do jej melodii i stukotu wypełniającego każdy kąt przedziału. Nie istnieje nic poza tą muzyką.

– Kilka.

Wszystko zrobił źle, a teraz nie da rady uciec, bo jest starym, zmęczonym człowiekiem, a ona promienieje życiem. Bo usiadł w głębi przedziału zamiast przy drzwiach. Bo jej nie odstraszył. Bo się odezwał. Bo miał przecucie, z gatunku tych, które są jak rozpędzone pociągi – graniczą z pewnością tak bardzo, że nie zmienisz już biegu wydarzeń i możesz tylko

patrzeć jak życie pędzi ku tragedii. Bo opór jest bez sensu, bo obrażona cyganka, bo wściekle spojrzenie tamtej dziewczyny przed laty oskarżającej go niemo o to, że przeżyła.

Jeśli spotyka się Śmierć dostatecznie często, to zaczyna się czuć, kiedy patrzy właśnie w twoją stronę, i tak Kazimierz czuje teraz jej spojrzenie na sobie. Nie widzi jej, ale wie, że ona jest tu i czeka. Na niego – niby pogodził się z tą myślą, ale przecież w domu czeka Irena i on chce do niej wrócić.

– Naprawdę?!

Kazimierz sięga do kieszeni, dotyka scyzoryka, zaciska na nim zeszywniałe palce.

– Opowiedz! Proszę...

Mimo ostatniego słowa to nadal jest rozkaz.

– Są różne opowieści pośród pracowników kolei, ale oni nie dzielą się nimi z innymi. To taki inny świat i –

– Ale ty je znasz?

Mięśnie mu drżą. Teraz, zanim zapadną się w rozmowę! Zanim pozna ją lepiej i nie będzie w stanie nic zrobić!

Ale nie, nie potrafi.

Spocone palce ślizgają się po plastiku.

– Pracowałem jakiś czas na kolei...

– Och! – Jest podekscytowana, a on zagubiony. – Byłeś konduktorem?

Jej spojrzenie jest nachalne i Kazimierz nie może powstrzymać się przed wyobrażeniem sobie jakby jej twarz wyglądała bez oczu.

– Albo pracowałeś w WARSie i patrzyłeś na ludzi?

– Byłem maszynistą.

Mała przestrzeń przedziału dusi go, przygina do ziemi, a dziewczyna patrzy roziskrzonymi oczami i niemo domaga się opowieści.

Nie powinien był zagadywać.

– Są historie o pociągach, które zabijają...

– Ale to są przesady! – Dziewczyna wybucha radosnym śmiechem. – Możesz mieć mordercę w pociągu i na pewno się to zdarzało, prawda? Sam pociąg jest maszyną, tłem dla niesamowitej opowieści. Dla zdrady i morderstwa na przykład. Zdarzali się w pociągach seryjni mordercy? Wiem, że mogłabym to wygooglać, ale to nie to samo jak usłyszeć to od kogoś, kto zna ten świat.

Jej entuzjazm przeraża go i przypomina dlaczego tu są. Budzi w nim agresję, instynkt pcha go do przodu, jak zaszczute, zamknięte w klatce zwierzę, które umie tylko atakować, ale ona mówi dalej. Pochyla się ku niemu i ani na chwilę nie spuszcza z Kazimierza wzroku.

– Jak wyglądali? Jaki był ich modus operandi?

*Jaki jest twój?*, chce zapytać, ale oczywiście z jego gardła wydobywają się zupełnie inne słowa. Słyszy własny głos i zastanawia się, co by odpowiedziała. Czy powiedziała by mu prawdę i jak brzmiałaby ta prawda? Co kieruje kimś, kto wsiada do pociągu z myślą, że zabije drugiego człowieka? Kazimierz wciąż zaciska dłoń na scyzoryku. Ma przeczucie graniczące z pewnością, że jeśli nie zaatakuje, to zginie, ale co jeśli jednak się myli?

Z trudem rozwiera spocone palce.

– Pociągi mogą zabijać – mówi powoli, a ona znów mu przerywa.

– W czasie wypadku, wiem, można tak powiedzieć, ale nie o to chodzi. – Milknie na chwilę i spogląda w okno. Jej twarz odbija się w nim niczym zjawą. – W taką noc jak ta – szepcze – w takim pociągu jak ten, gdzie nie ma kamer i nikt nikomu nie patrzy na ręce, nie ma biletów z nazwiskiem i sprawdzania dokumentów, morderca mógłby dokonać zbrodni i uciec w ciemną noc gdzieś między stacjami, gdy pociąg zwolniłby, aby przepuścić drugi.

Kazimierz słucha przerażony.

– Na pewno ktoś tego próbował...

Drzwi odsuwają się gwałtownie, hałas zalewa przedział i topi jej słowa. W jasnym świetle korytarzowych świetlówek stoi mężczyzna i uśmiecha się do nich przyjaźnie. Ma na sobie mundur, jasne włosy wypadają mu spod konduktorskiej czapki, torba zwisa z ramienia. To nie ten sam człowiek, który sprawdzał wcześniej bilet Kazimierza, ale może na stacji zmieniła się załoga.

– Bilecik od pięknej pani poproszę.

Ona śmieje się, konduktor uśmiecha się szerzej. Szarość czmycha do kąta z dala od drzwi, wciska się w Kazimierza i on też się tam wciska, zbyt wystraszony jasnością, aby wykorzystać chwilę i uciec.

– Bilet...

Wyciąga z kieszeni dokumenty i konduktor już się nie uśmiecha. Już przestąpił próg i światło spływa za nim kaskadą, ale tu w środku przedziału robi się coraz ciemniej i młody mężczyzna jest niczym więcej jak wciąż oddychającym cieniem.

– Znasz jakieś historie o morderstwach w pociągach? – Dziewczyna zagaduje konduktora, wyciągając ku niemu rękę z biletami, i Kazimierz zastanawia się, jakie szaleństwo włada jej myślami, że zwraca na siebie uwagę, pozwala się zapamiętać. Może to jednak nie

ona? Nie. Jest pewien, że to przez nią zepsuło mu się auto, przez nią zlikwidowali pekaes. To ona i albo on ją zabije, albo ona jego... chyba że to on oszalał. – Ale takie prawdziwe!

Światło na korytarzu miga konwulsyjnie. Ją to bawi, on myśli tylko o tym, że konduktor nie wziął od niej biletu, nie ma nawet przy sobie czytnika kodów.

– Opowiada się czasami o mordercy z jednego wagonu. – Konduktor odzywa się po chwili namysłu. – Zabił i uciekł. Nigdy go nie odnaleziono. Myślano, że to jednorazowa zbrodnia popełniona może w afekcie, albo w imię niezrozumiałej zemsty, ale jakiś czas później kolejna osoba zginęła w pociągu i zbyt wiele rzeczy było podobnych, aby tych dwóch spraw ze sobą nie powiązać.

– Naśladowca? – wyrywa się jej. – Jakiej relacji to był pociąg?

– Żadnej i każdej, proszę pani. Raz Wrocław Główny – Poznań Główny, raz Kraków – Gdynia. Potem były inne. Ale ponoć to był ten sam wagon. Po pierwszym razie wyczyszczono go i wprowadzono z powrotem do służby, ale wagony się przepina. Czasami taki jedzie jako pierwszy, czasami jako ostatni, niekiedy zawita do Szczecina, kiedy indziej do Warszawy albo Stalowej Woli. Miejsce i cel nie miały znaczenia. Chodziło o wagon.

– To brzmi nieprawdopodobnie. Planowanie morderstw w oparciu o konkretny wagon? – Dziewczyna prycha. Nie podoba się jej to, brzmi zbyt wydumanie, magicznie; widać to nawet w półmroku.

Kazimierz w duchu przyznaje jej rację. Mało kto zwraca uwagę na numery wagonów. Dopiero w raportach te oznaczenia wypływają, a gdy to robią, paskudne prawidłowości kłują w oczy tak bardzo, że nie sposób nie doszukiwać się w nich czegoś więcej.

– To legenda miejska... kolejowa. – Konduktor się śmieje. – Niektórzy twierdzą, że to sam wagon zabijał, albo że pierwszą ofiarą był pracownik kolei. Albo obie te rzeczy, albo że duch kolejarza pozostał w wagonie i zaczął się mścić albo chronić innych pracowników. Różni różnie mówią i nikt nie wie jak to jest naprawdę.

– Kiedy to było?

– W dziewięćdziesiątym pierwszym lub drugim.

Ona patrzy to na konduktora, to na Kazimierza. Wyławia go z cienia, jakby spojrzeniem chciała zmusić go do zabrania głosu, zgodzenia się, że choć ciekawa, to jednak jest to tylko legenda, ale mowy nie ma, żeby Kazimierz się teraz odezwał.

– Przesady – wzdycha w końcu wyraźnie rozgniewana.

– Oczywiście, ale trudno zachować obiektywizm, gdy się tu pracuje. Nawet skromny konduktor widzi codziennie tylu dziwnych ludzi, że nie sposób spamiętać ich twarzy i stają

się oni bardziej podobni zjawom niż istotom z krwi i kości, a kiedy indziej w całym składzie jest się samemu z kolegą i w stukocie słyszy się głosy nieistniejących pasażerów.

– Hetman. – Słowo jest szybsze od myśli, ciche, ledwie słyszalne, ale zwraca na Kazimierza uwagę obojga.

– Tak, Hetman na przykład – przytakuje konduktor-cień. – My tu, a maszyniści są w lokomotywie; blisko i daleko zarazem, i patrzą w ciemność. Ponoć każdy, który przepracował więcej niż kilka lat widział choć jedną osobę ginącą pod jego pociągiem.

– Ty?

– Dziewięć. – Kazimierz odpowiada jej zanim dociera do niego, że miał milczeć.

Dziewięć istnień, które już wysłał na tamten świat. A ona patrzy na niego wielkimi oczyma pełnymi niezdrowego zafascynowania.

– Wiesz kim byli?

– Nie – kłamie, bo wie przynajmniej w kilku przypadkach.

Czasami dlatego, że napisali o tym w prasie, czasami ponieważ przez niewielką szybkość lokomotywy widział ich aż zbyt dokładnie i prześladowali go w snach, dopóki nie dowiedział się choćby jak mieli na imię. Dziewięć twarzy, zwłok przeciągniętych po torach na swoje własne życzenie. Byłoby dziesięć, do pełnego rachunku, ale jedna dziewczyna potknęła się, wbiegając na tory. Upadła obok i patrzyła zawistnie ku lokomotywie, wyciągając rękę ku chłopakowi, który już kulił się pomiędzy szynami. Powiesiła się trzy dni później, a śmierć wplotła jej we włosy małe polne kwiaty.

Dziewczyna patrzy na niego. Pytanie *Dlaczego?!* wisi w powietrzu, ale Kazimierz je ignoruje. Milczy i czeka, bo coś się zmieniło. Z narastającym zgrzytem pociąg wytraca prędkość. Świat za oknem składa się tylko z ciemności i nie ma punktu odniesienia, ale czują, że wszystko zwalnia i zaraz się zatrzyma. Czy ktoś wszedł na tory? Czy to już kolejna stacja? Nie wie, nie umie ocenić, choć intuicja wrzeszczy mu, że nie, że za wcześnie i coś jest zdecydowanie nie tak.

Ona podrywa się i wygląda przez okno podekscytowana. Patrzy w ciemność i uśmiecha się. Konduktor marszczy brwi, cofa się na korytarz, spogląda wzdłuż wagonu, znika za granatową zasłonką. Świetlówki gasną i zapalają się, sprawiając że w oczach podróżnych wykwitają czarne kwiaty. Dziurawa rzeczywistość pożera przedział, w jazgocie nie słychać ani głosów, ani krótkofalówki i może nawet ich nie ma, może tylko je sobie Kazimierz wyobraża, gdy drży gotowy do skoku.

Już za chwilę – jest tego pewien.

Znów zaciska dłoń na scyzoryku. Plastik jest ciepły.



Pociąg staje, niegdysiejszy maszynista wraz z nim oddycha ciężko i zamiera w bezruchu. Przez moment jest między nimi taka zgodność, że aż go to bawi. Spazm śmiechu podchodzi mu do gardła, bo przez moment myślał, że jest gotowy – naiwny. Nie jest. Nie potrafi tego zrobić. Rozwiera palce i myśli o Irenie. Światło na korytarzu znów gaśnie i wszystko na chwilę cichnie. Nie ma turkotu kół, bo stoją. Wiatr nie wali deszczem w okno, ludzie milkną, świetlówki znów gasną i nie bzyczą cichutko. Wszystko czeka, wstrzymuje oddech. Szelest kurtki jest w tym wszystkim jak krzyk, skrzypnięcie kanapy jak okrzyk bojowy i zapatrzony w ciemność Kazimierz wie, że nie ma szans. Przecucie nie miało go ocalić, a pozwolić, aby się pożegnał. Uśmiecha się. Nie mruga. Chwila rozciąga się w nieskończoność i nagle mija. Świetlówki z bzykiem zapalają się. Pierw na pół gwizdka, ledwo tylko rozpędzając ciemność, ale z każdą sekundą radzą sobie lepiej. Konduktor ponownie stoi w drzwiach. Nieelegancko trzyma dłonie w kieszeniach spodni, czapka mu się nieco przekrzywia, zniszczona torba zwisa z jego ramienia.

– Szykuje się dobra podróż – oznajmia pogodnie. – Uważaj na siebie i nie zrób niczego głupiego, naprawdę. Śmierć śmiercią? Naprawdę? I to scyzorykiem? – Zdaje się go karcic za wszystkie myśli i plany. – Raz-dwa by cię znaleźli i wątpię, aby uwierzyli w twoją historię, nie ważne, że była prawdziwa. – Miałeś szczęście, że trafiliście na mój wagon. – Kręci głową i poprawia czapkę. – Ale zajmę się wszystkim tutaj. Prostych torów. – Skłania się nieznacznie i odchodzi, a Kazimierz nie ma odwagi poderwać się z miejsca i wyjrzeć w ślad za nim na korytarz, bo pewien jest, że nikogo tam nie zobaczy.

Miejsce przy zamkniętych drzwiach jest tylko nieco brudne, jakby ktoś wylał na nie kawę. Pusta walizka nadal leży na półce pod sufitem, a kurtka na podłodze. Sięga ku niej ostrożnie. Podnosi. Jest ciężka przez wpięty od wewnętrznej strony nóż, teraz trzymający się na ostatniej zapince – długi, wąski, ostry i niemal gotowy do użycia. Gdy siedziała, cały czas znajdował się tuż przy jej dłoni.

Światło miga ponownie. Paraliż mija i zza drzwi dobiega szum rozmów, kroków i trzask otwieranych okien. Niski, pewny głos prosi o zachowanie spokoju.

– Mamy małą awarię, ale proszę nie oddalać się od pociągu. Tak, można wyjść na chwilę zapalić, ale proszę uważać, bo jest ślisko i pozostać blisko składu. Powinniśmy w przeciągu trzydziestu minut ruszyć...

W świetle drzwi pojawia się głowa konduktora. Znużony, ciemnowłosy i wiekiem bliski emerytury, chwilę rozgląda się po przedziale i wzdycha ciężko.

– Wszystko w porządku? Och... – Nim pada odpowiedź, konduktor pociera twarz dłonią i wygląda na korytarz, spogląda wzdłuż wagonu, ale tam są tylko barwnie ubrani pasażerowie

mniej lub bardziej niezadowoleni z postoju. Kazimierz milczy, ale teraz już nie ma wątpliwości. To jest ten wagon, o którym do tej pory tylko słyszał, ten, o którym opowiadał młody konduktor.

– Ktoś zostawił bagaż? – odzywa się znowu i robi to za głośno, jakby chciał, żeby go usłyszano na korytarzu, a przecież obaj wiedzą co się tu stało, tylko że nikt im nie uwierzy. Więc Kazimierz podejmuje grę.

– Tak – odpowiada równie głośno i wyraźnie.

– I raczej już po niego nie wróci?

– Jej pociąg już odjechał.

W krótkim zdaniu czai się drugie i trzecie dno jasne tylko dla tych, którzy część życia oddali tym składom i torom. Konduktor wzdycha ciężko.

– Cóż. Gdzie ci ludzie mają głowy? Wezmę to do konduktorskiego – oznajmia równie donośnie i nasłuchuje chwilę. Dopiero po niej odzywa się ciszej. – Przynajmniej tym razem powinno wystarczyć zwykłe czyszczenie i może obejdzie się bez śledztwa. Zależy gdzie wsiadła... – Sięga po walizkę, z niechęcią przygląda się kurtce. – Kiedyś Mirek zostawiłby tu krwawą łaźnię. Starzeje się, jeśli duchy w ogóle mogą się starzeć – śmiech konduktora jest nieprzyjemny, wymuszony.

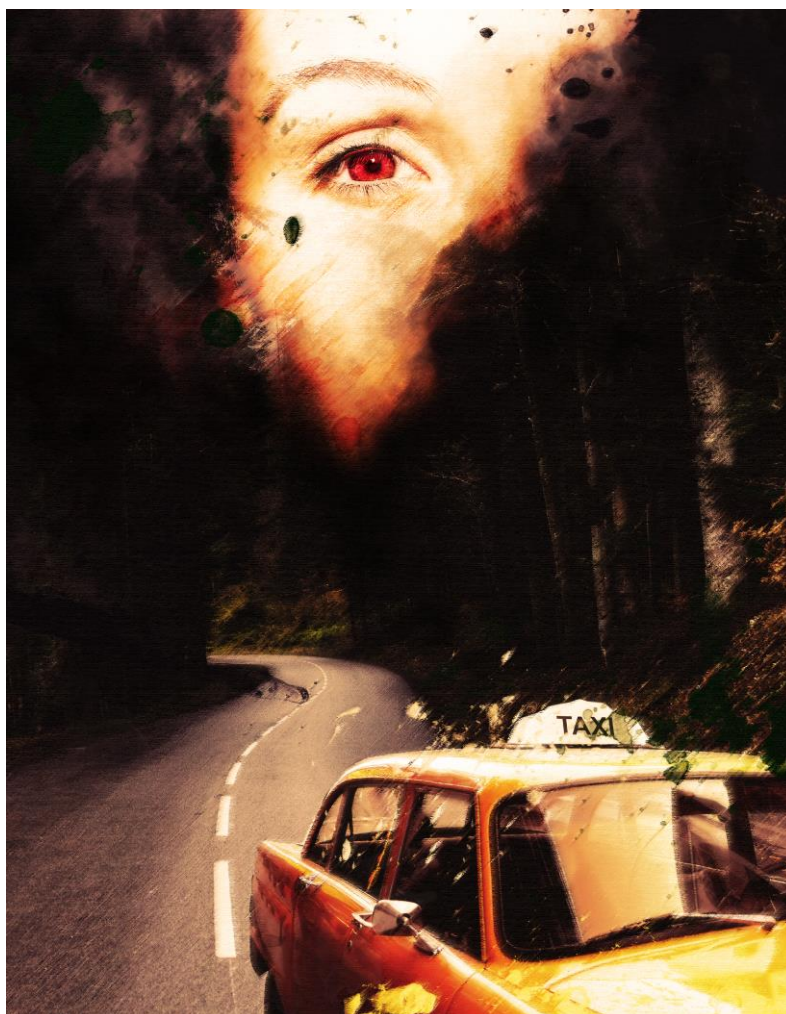
*Albo obawia się, że w końcu zezłomują ten wagon i umrze po raz drugi.*

Kazimierz jest pewien, że nie tylko on tak myśli, ale żaden z nich nie mówi tego głośno.

– Choć mógł nie uszkadzać składu. Już i tak mamy opóźnienie, ale... Słyszysz, Mirku?

Czekają, ale nawet jeśli duch Mirka ich słyszy, to nie odpowiada. Może istnieją zasady świata duchów, których nie wolno mu zdradzić, a może po prostu nie ma ochoty.

Konduktor wzdycha ciężko i wychodzi za próg. Drzwi zamykają się za nim i w przedziale zapada ciemność, ale Kazimierz nie obawia się jej. Uczucie, że to jego ostatnia noc zniknęło i w końcu może oddychać, myśleć o celu podróży i słuchać rozmów zza ściany bez podchodzącego do gardła strachu, z którego rodzi się bezmyślna agresja. Teraz jest bezpieczny. Przynajmniej tej nocy on, konduktorzy, maszyniści – wszyscy są bezpieczni.



# DAWNE ZNAJOMOŚCI

Igor Kręt

Mały Lucuś siedział na skraju pola i bawił się kilkoma kłosami zboża, które wręczył mu dziadek. Słońce prażyło jak diabli, wiatr umarł gdzieś w cienistym zalesieniu boru na północy. Ludzie powłóczyli nogami po polu z kosami i snopkami. Gerlak z sąsiedniej wioski obiecał przyjechać ze żniwiarką, ale podobno spał się ze szwagrem i ledwo co oddychał. Dochodziło południe. Wszystko, co żywe oprócz ludzi umknęło przed światem. Na niebie nie przeleciał jeden choćby ptak. Z lasu nie wychynęła łba ani jedna sarenka. Psy w zagrodach ciężko dyszały w budach.

Lucuś stracił ostatni kłos i ciekawsko rozglądał się teraz wokoło. Czuł, jak pająk łachocze go na plecach. Położył się i zaczął turlać. Widział teraz błękitne niebo bez ani jednej chmurki. Było ogromne, trochę przerażało Lucusia, który zamknął oczka na kilka sekund, aby uspokoić bicie serca. Kiedy je otworzył i wstał, na polu nikogo nie było. Przynajmniej tak sądził na początku. Kiedy pobiegł kilkanaście kroków, zobaczył tatę. Leżał trochę tu, trochę tam. Tak samo mama i dziadek. Wszyscy leżeli wszędzie po trochu. Tylko jedna nieznajoma kobieta stała w oddali. Wychyliła się zza sztygi i obserwowała chłopca. Lucuś też ją obserwował, wyciągnął rękę do przodu, ale wtedy nieznajoma się oddaliła. Został sam. Było południe.

\*\*\*

Taksówka zatrzymała się na postoju naprzeciwko lokalnego kebabu. Zapach baraniny unosił się w powietrzu. Ludzie co chwila wchodzili i wychodzili z lokalu z upchanymi w bułkach i pitach kaloriami ociekającymi czwartą świeżością i zarodkami raka jelita grubego. Lucjan opuścił przednie szyby i napił się wody. Dzień był upalny jak nigdy. Pamiętał, że w dzieciństwie takie upały miały się bardzo dobrze, jakby lato wtedy składało się w połowie z żaru. Świat, nawet na normalnych obrotach nie tak wcale szybki, stawał w miejscu i milcząco oczekiwał na choćby jeden zimny prąd.

– Na wioski też pan jeździ? – Usłyszał i aż podskoczył na siedzeniu, które zatrzęszczało przy tym nieprzyjemnie.

Dziewczyna stała lekko pochylona do przodu, zasłaniając dłonią dekolt.

– Jeśli nie...

– Jasne, pewnie, jadę wszędzie, gdzie chcą – odpowiedział niezdarnie. – Dokąd?

– Do Baryłek.

– Spory kawałek drogi.

– Ale jakie widoki. – Uśmiechnęła się lekko.

W czasie jazdy nie rozmawiali dużo. Dopóki nie wyjechał z miasta, prawie nic. Radio cichutko nuciło jakąś melodię, nawiew dmuchał ciepłym powietrze, choć skala ustawiona była na zimno. Kiedy mijali kolejne wioski, dziewczyna jakby się rozbudziła.

– Pamiętam tę okolicę! Boże, tyle tu się zmieniło! – krzyknęła nagle podekscytowana.

– Dłuższa nieobecność? – spytał Lucjan, zredukował bieg, widząc przed autem coraz większe koleiny.

– Prawie siedem lat. Długo by opowiadać. W każdym razie nie ukrywam, że stęskniłam się jak cholera!

– Mają swój urok.

– Zdecydowanie. Wielkomiejskie szambo już mi się przejadło. I chyba mam raka krtani.

Lucek na moment zamarł. Udawał, że niedosłyszał ostatniego zdania. Dziewczyna nieoczekiwanie szturchnęła go w bok.

– Żartuję. Nigdy nie czułam się lepiej. – Puściła oko, uśmiechając się serdecznie. – Ale miasto potrafi zabić.

– Nasze okolice też – powiedział Lucjan i od razu ugryzł się w język.

*Co ty pierdolisz?* Poczuł, że traci ostrość widzenia. Zwolnił gwałtownie. Silnik zaczął się dławić. W ostatniej chwili zredukował bieg.

– Wszystko w porządku? Wygląda pan blado.

– Jest dobrze. To przez słońce. Za dużo tych upałów.

Dziewczyna pokiwała głową, a Lucjan z ulgą wypuścił powietrze. Wyrzucił wszystkie złe myśli chcące wtargnąć do jego świadomości. Skoncentrował się na drodze.

Do Baryłek mieli jeszcze dwa kilometry. Droga ciągnęła się przez coraz większe zabudowania, a potem, nagle okolica ponownie się wyludniła. Pas popękanego asfaltu biegł pomiędzy ugorami i złocącymi się polami zbóż. Gdzieś w oddali na zachodzie widać było kontury zagajników.

– Ktoś chyba chce się zabrać – powiedziała nagle dziewczyna.

Na poboczu stała kobieta. Wyraźnie machała, aby taksówkarz się zatrzymał. Lucjan początkowo nacisnął hamulec, ale zaraz potem niespodziewanie dodał gazu. Poczuł, jak blednie, krew odpływa z głowy, świat staje się niewyraźny. Koła złapały pobocza, ale auto nie wypadło z jezdni.

– Wszystko w porządku? Ta kobieta chyba chciała się zabrać.

– Tak, znaczy... nie, to lokalna pijaczka. Znam ją. Robi tak zawsze – odpowiedział zdezorientowany mężczyzna.

Dziewczyna widziała, jak Lucjan kurczowo zaciska dłonie na kierownicy, jak po skroni spływają krople potu.

– Chce pan wody?

Nie odpowiedział. Dodał gazu, a potem, w ostatniej chwili zdążył bezpiecznie zatrzymać się przed skrzyżowaniem. Teraz jechali drogą gruntową. Za autem ciągnął się tuman kurzu. Lucjan spojrzął w tylne lusterko. Poczuł, że traci zmysły. Był przekonany, że widział w nim sylwetkę kobiety, która chciała aby zatrzymał auto. Czy to możliwe?

Oczywiście, że nie! Od rana dziwnie się czuł. Nie powinien w ogóle siadać za kierownicę. Ale ona tam była. Stała jak żywa.

– Która godzina? – spytał nagle Lucjan.

– Co?

– Do cholery, głucha jesteś?! Która godzina? – wrzasnął tak głośno, że dziewczyna o mało nie upuściła komórki, którą trzymała w dłoniach.

– Proszę się uspokoić. Czy pan coś brał? Niech się pan zatrzyma. Wsiadam tu.

– Nie, widziała i ciebie. Musisz dojechać do domu.

– Nie chcę dalej jechać. Wsiadam.

– Nie!

Spojrzał jeszcze raz w tylne lusterko. Czysto. Tylko kurz.

– Zgłoszę to na policję. Pan jest naćpany!

Złapał ją za przedramię. Uścisk był silny. Cicho jęknęła z bólu, ale się nie odezwała. Uznała, że to tylko pogorszy sprawę.

– Która godzina? Mów.

– Trzynasta siedem – odparła cichutko łamiącym głosem. Starła się powstrzymać łzy i przerażenie. Starła się grać odważną i niewzruszoną, ale kolejne sekundy niszczyły mur pomiędzy spokojem a paniką.

– I uspokój się. Nic ci nie zrobię. Jeśli już, to oboje mamy przesrane.

*Kilometr. Cały pieprzony kilometr*, myślał sobie, patrząc na GPS. Nieustannie spoglądał we wsteczne lusterko, potem w boczne i przed siebie. Myśli kłębiły się w jeden przerażający zlepek zwiastujący niechybny koniec. Dziewczyna milczała jak zaklęta. Na jej twarzy malowała się nieustanna groza postarzająca ją o dobre dziesięć lat. Nie śmiała nawet głośniejszy oddychać, choć serce waliło jak oszalałe.

Stała w miejscu, gdzie droga biegła pomiędzy dwoma brzołowymi zagajnikami. Ubrana w zwiewną białą sukienkę w granatowe kropki sięgającą do kolan. Na głowie miała kolorową chustę. Bose nogi zatopiła w żwirowym podłożu. Lucjan zahamował i w tej samej chwili silnik wyzionął ducha. *Jakie to przewidywalne*, pomyślał, starając się reanimować motor.

– Kim ona jest? – powiedziała pasażerka, łamiąc tym samym pakt o milczeniu.

– Kimś, kogo dawno nie widziałem – odpowiedział Lucjan i myślami cofnął się do tamtego lata i widoku swoich bliskich, a w zasadzie ich kawałków porzucanych po polu. – Ale to nie ma sensu.

– Co niby?

– Jest już po trzynastej, południe... jej tu nie powinno być. Zresztą... przecież żniwa jeszcze w powijkach.

Dziewczyna nie rozumiała nic z tego, co mówił Lucjan. Przyglądała się kobiecie stojącej na drodze. Wyglądała mizernie. Miała zapadnięte policzki i oczy, skóra wyglądała na wysuszoną i spaloną słońcem.

– Skoro się znacie, może wytłumacz jej, że stanie na środku drogi nie jest najlepszym pomysłem.

– Ma rację – odezwał się nieznajomy głos.

– Widzisz, ona tylko... – Dziewczyna zamilkła w pół słowa, a jej kark wydał przeraźliwe chrupnięcie, po którym głowa opadła bezwładnie na bok.

– Niech cię diabli! Trzeba było mnie wykończyć wtedy!

Uśmiechnęła się serdecznie. Teraz wyglądała jak zupełnie normalna, lekko niedzisiejsza kobieta, która w życiu przepracowała zbyt wiele godzin w ostrym słońcu bez kremu z filtrem. Uniosła lekko dłoń, po czym przednia szyba auta skruszyła się jakby była z cukru.

– Byłeś taki mały, słodki. Zupełnie nie wiedziałeś, co się stało. Pamiętam, jak wzięłeś dwa palce dziadka leżące najbliżej. Bawiłeś się nimi, jakby były kolejnymi zabawkami w twojej skromnej kolekcji. Poza tym nie byłeś na tyle świadomy, by znać kilka zasad rządzących tą okolicą.

– Jak nie wychodzenie na pole w samo południe, hm?

– Dokładnie tak, Lucku. Ale czasy się zmieniły. Uwierz mi, że nawet ktoś taki jak ja nie da rady tym wielkim maszynom, które zastępują pracę całej zgrai ludzi. Wystarczy jeden. Tyle trudu dla jednego, marnego człowieczka?

Lucjan jeszcze raz spróbował uruchomić silnik. Martwy na amen.

– Nie chcesz ze mną rozmawiać?

– Nie ma o czym. Wybiłaś mi całą rodzinę. Teraz nawet dobrze ich nie pamiętam. Są tylko zamglonymi postaciami w pamięci, a przecież to moi rodzice, dziadek. Zabrałaś ich, zanim pojąłem, że sam nigdy sobie nie poradzę.

– Nie rozpaczaj, maminsynku – zadrwiła. – Twoja ciotka robiła, co mogła, żebyś nie skończył na ulicy. Jak widać, całkiem dobrze jej poszło. Była mądra. Ukrywała cię przede mną.

– Od dawna u niej nie mieszkam. A mimo to zjawiasz się dopiero teraz. I jeszcze to. – Wskazał na ciało pasażerki, ciągle ciepłe, choć pozbawione życia.

– Spokojnie, zabiorę ją, tak jak kolejnych.

– Chyba nie sądzisz, że...

– Czasy są trudne, Lucjanie. Każdy orze jak może. Czyż nie tak mówią ludzie?

Mężczyzna poczuł, że zaraz straci przytomność. Czuł, jak ciarki biegają po dłoniach i rękach niczym drobne szpilki wzbijające się w ciało.

– Będziesz zaglądał w tę okolicę często, wybierał tę drogę, pomiędzy zagajnikami jako priorytetową. Potrzebuje pożywki. Zdrowej. Zwykle pijaczki to puste kalorie. Pożądam młodej krwi. Rozumiesz mnie, Lucjanie? – Wyszczrzyła rzędy ostrych, igielkowatych zębów. W oczach rozgorzało szaleństwo, które chciało za wszelką cenę wydostać się na zewnątrz.

Lucjan bez słowa zostawił dziewczynę na poboczu drogi przy zagajnikach. Silnik, zgodnie z jego przewidywaniami, cudownie zmartwychwstał. Wracając na dworzec autobusowy, nie mógł dojść do siebie. Czuł, że świat miażdży go jak robala, a on bezskutecznie próbuje wytrzymać ten ciężar. Wiedział, że nie może uwolnić się od tej obietnicy. Jednak nawet z najgorszej sytuacji istnieje jakieś wyjście. Czasami jest ono ukryte, czasami aż zanadto widoczne w ten specyficzny sposób, przez co mając rozwiązanie przed sobą, jesteśmy wobec niego ślepcami. Dla Lucjana jedną z opcji zerwania umowy był rozpędzony tir jadący drogą krajową, którą mężczyzna zamierzał przeciąć.





# MIĘSO

Piotr Józefowicz

To dobry moment, żeby zacząć opowiadać od początku – powiedziała Milena. – Wiesz, każdy swoją historię. Ty swoją. – Położyła mu dłoń na piersi. – Ja swoją. Rozumiesz?

Zbyszek nie rozumiał, dlatego zapytał:

– A co ze Snifką?

– Chyba może zostać z tobą, prawda?

Tyle zapamiętał z tamtego dnia. Latami próbował wyhamować, a kiedy wreszcie się

udało, poczuł, jakby uderzył w ścianę. Westchnął i podrapał psa za uchem. Raz jeszcze próbował ułożyć sobie to wszystko w głowie.

Pracę w policji zaczął praktycznie od razu po zakończeniu szkoły. Jeszcze akademia, egzamin i mundur. Witamy na pokładzie! Czuł powołanie. Lubił tę pracę. Angażował się i poświęcał jej znacznie więcej czasu, niż wymagały tego służbowe obowiązki. Dawał z siebie wszystko. Aż nagle go zjadło. Pewnego dnia obudził się i po prostu nie był w stanie stwierdzić, jak znalazł się w tym właśnie miejscu. Leżał, wpatrując się w nagie plecy śpiącej żony. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz naprawdę rozmawiali. Tak, żeby obie strony słuchały swoich słów, rozumiały je i reagowały. Zapomniał jak właściwie się poznali. Wreszcie nie mógł też zrozumieć, w jaki sposób ich związek przetrwał tyle czasu. Co mógłby jej powiedzieć, gdyby nagle obróciła się na drugi bok i otworzyła oczy? Wykrzywił twarz w grymasie. Wstał z łóżka najdelikatniej jak potrafił, a następnie przeszedł do ciemnej kuchni, przestępując ostrożnie nad rozciągniętą w progu Snifką. Opadł na krzesło i odblokował telefon. Palce zaczęły nerwowo tańczyć po zatłuszczonej płytce ekranu. W bladej poświacie elektronicznego blasku wyglądał jakby próbował przekopać się na drugą stronę. Takiego właśnie zastała go rano: przygarbionego, w samych bokserkach.

Wzrok miał pusty. Oświadczył jej, że przejdzie na wcześniejszą emeryturę, wyprowadzą się z miasta i zaczną żyć od nowa. Milena odpowiedziała mu na to, że może zachować psa.

## 2

– Czekają nas tu sporo pracy. – Zbyszek mruknął do Snifki. Z papierosem w zębach lustrował swój nowy dom. Kupili tę zapomnianą chałupę razem z otaczającym ją niewielkim plackiem ziemi, krótko po ślubie. Chcieli jakoś zainwestować swoje oszczędności. Wyrwać kawałek świata spoza miejskiego zgiełku. Zrobić coś razem. Wieś Ciche leżała pośrodku niczego, z niczym się nikomu nie kojarzyła. Była idealna.

Na drewniany budynek składały się wspólny parter, gdzie kochali się, gotowali a czasami przyjmowali też gości, piwnica w której Zbyszek urządził swój warsztat oraz użytkowe poddasze zaadaptowane przez Milenę na pracownię. Dom już wtedy nie był w najlepszym stanie, ale zupełnie się tym nie przejmowali. Dziurawa rynna czy skrzypiące drzwi nadawały realizmu. Inspirowały. Tak przynajmniej twierdziła Milena. W pierwszych latach małżeństwa przyjeżdżali tu co weekend. Ona uwielbiała malować linię pobliskiego lasu. On lubił tę anonimowość, którą dawał fakt, że nikt tutaj nie znał go od strony służbowej.

W oczach sąsiadów błysk ciekawości przeważał nad wyrobioną opinią. Poczucie wolności potęgowała dodatkowo dość duża odległość od najbliższej zabudowy. Od sąsiadów oddzielał ich spory pas nieużytków o niejasnym statusie prawnym. Tym samym nie była to już wieś, a właściwie jej daleko wysunięta kolonia. „Magiczne miejsce”, tak mówili wszyscy ich przyjaciele, którym było dane odwiedzić uroczą chatkę. Przyjaciele, których imiona wywietrzały z głowy Zbyszka.

Ta sama magia, która kazała im uciekać przed cywilizacją w nieznane, sprawiła, że przestali to miejsce odwiedzać. To co początkowo było przygodą, z czasem stało się uporczywe, a w miarę jak poznawali okolice coraz częściej zastanawiali się czy wszystko to warte jest zachodu. Wreszcie Ciche przegrało ze zmęczeniem i codziennymi obowiązkami.

Snifka wskoczyła między wysoką trawę i znikła na chwilę z pola widzenia. Jej obecność zdradzały jedynie ruchy czubków źdźbeł i pobrzękiwanie obroży.

– Żebyś jeszcze ty mnie nie zostawiła, koleżanko – powiedział Zbyszek.

Upuścił niedopałek i zgasił go butem na ziemi. Odruchowo wyciągnął z kieszeni koszuli miękką paczkę Marlboro. Przez chwilę ugniatał ją bezwolnie palcami, zapatrzony w stronę lasu. Był bliżej. Trawa wystrzeliła w górę, sięgając wyżej pasa, otulając ściany budynku. Jej spalona słońcem barwa stapiała się ze spłowiałymi drewnem desek. Rośliny ekspandowały też w szerz, pochłaniając klepisko podwórka. Od góry dach załamał się i opadł nieco do środka. Oznaczało to prawdopodobnie, że zalaniu mogła ulec też piwnica. Domek godził się ze swoim losem. Wyglądało to jakby skulił się w sobie i zmałał.

Zbyszek przeklął w duchu własną głupotę. Dlaczego nie sprawdził wcześniej stanu działki? Jak on sobie to wyobrażał? Że przyjadą w romantycznym szale i zmienią rzeczywistość siłą swojej pasji? Gdyby Milena nawet zdecydowała się uciec z nim, a nie od niego... Gdyby nawet chciała, to mogłoby ją przerosnąć. Sprawdził drzwi. O dziwo, zamek był cały. Przekręcił klucz dwa razy i otworzył wzmocnione drzwi. Ze środka uderzył zaduch. Zbyszek gwizdnął na psa i wszedł do środka.

### 3

Remont rozpoczął od parteru. Mycie, wietrzenie i wynoszenie śmieci zajęło całe przedpołudnie. Przed zmrokiem udało mu się też pomalować ściany, wypełniając wnętrze świeżą barwą złamanej bieli. Cieszył się, że przyjechał tu o świcie. Zaskoczyła go własna determinacja oraz to jak dom łatwo poddał się jego woli. Oczywiście wymagał jeszcze mnóstwo pracy, ale widoczne efekty włożonego wysiłku dawały mu satysfakcję.

Wystawił krzeselko wędkarskie na werandę. Na stole, zaimprovizowanym z drewnianej skrzynki, rozłożył gazetę. Pieczołowicie ułożył na niej dzisiejszą kolację: bułkę, konserwę turystyczną i kubek parującej herbaty. Podniósł głowę w kierunku nocnego nieba. Księżyc świecił mocno, oświetlając czern lasu. Zbyszek zapomniał już, jak bardzo ten widok różni się od brudnej szarugi miasta. Gwiazdy zdawały się mu przyglądać. Wzdrygnął się.

Coś trąciło jego nogę. Snifka zapiszczała ze wzrokiem utkwionym w konserwie. Raz jeszcze pacnęła go łapą.

– Wiem, wiem. – Zbyszek odkroił trochę mięsa i podał go na dłoni. Pies obwąchał go dokładnie, zanim Chapman. – Jutro zrobimy prawdziwego grilla, królowno. Obiecuję.

Zabrał się do jedzenia, cały czas planując dalsze prace. Nie chciał myśleć o tym, co będzie robił w pustym domu, kiedy odzyska on już swój pierwotny blask. Sen czekał na niego w samochodzie, dlatego starał się odwlekać też ten moment. Zresztą czuł w sobie taką... Siłę? Wolność?

– Tak – przeciągnął. – Wolność.

Postanowił zaglądnąć jeszcze do piwnicy. Farba na parterze wciąż parowała, wypełniając przestrzeń hipnotyzującym zapachem. Zza otwartych okien grały świerszcze. Zbyszek przeszedł przez salon i zszedł wąskimi schodkami. Na jego dawny warsztat składało się jedno pomieszczenie wmurowane w ziemię. Małutkie okienka wystające ponad powierzchnię gruntu szczelnie oplatała roślinność. Ruchem ręki zerwał co większe pajęczyny. Niewielka przestrzeń była niemal w całości zavalona gratami. Trudno było uwierzyć, że sam zgromadził wszystkie te przedmioty. Część z nich, z pewnością należących do Mileny, została zniesiona do piwnicy podczas jednej z ich ostatnich wizyt. Ale podobnie jak w przypadku innych faktów dotyczących wspólnego życia, teraz też trudno byłoby Zbyszkowi jednoznacznie wskazać do kogo konkretna rzecz należała. Zakuło go w głowie. Nagle powróciło zmęczenie towarzyszące mu przez ostatnie dni przed terminem wczesnej emerytury. Czuł się, jakby na coś oczekiwał. Zerwał plandekę przykrywającą duży kształt w rogu.

– O kurwa! To nadal tu jest!

Przejechał dłonią, zgarniając kurz z wysokiej szafy pancерnej. Wyjął z kieszeni pęk kluczy. Wybrał odpowiedni, a następnie przekręcił w zamku. Pociągnął drzwiczki. Puściły z jęknięciem zapiekłego metalu, odsłaniając myśliwską strzelbę. Zbyszek sprawdził pustą komorę magazynka, przyłożył drewnianą kolbę do barku, spojrzał ponad szczerbinką. Uśmiechnął się.

Pies zaszczekał, przywołując Zbyszka z powrotem do rzeczywistości. Czarne oczy

zwierzęcia błyskały w słabo oświetlonym pomieszczeniu.

– Spokojnie, piesku. Zaraz pan pokaże ci naprawdę fajną sztuczkę.

Wyszukał jeszcze kartonowe pudełko naboí. Tak zaopatrzeni wrócili na werandę.

– Za nowe! – krzyknął. Załadował strzelbę, wycelował w księżyc i strzelił. Przeładował. Strzelił. I jeszcze raz. Jeszcze raz. Jeszcze!

Snifka czmychnęła w ciemność, zawodząc przeraźliwie.

#### 4

Śnił o spadającej gwiazdzie. Spalała się z przeraźliwym krzykiem, a on strzelał do niej, aby nie przygniotła go do mokrej ziemi. Bał się, że zmiażdży go zanim zdąży pomyśleć życzenie. PUK, PUK, PUK – strzelba niemrawo pluła światłem, jakby załadowano ją ślepakami. PUK! PUK! PUK! – ktoś pukał do drzwi samochodu. Zbyszek podniósł się i opuścił szybę.

– Dawno pana tu nie było – powiedział sąsiad, lustrując wnętrze pojazdu.

Wymienili zwyczajowe uprzejmości, po czym padło pytanie o wczorajsze strzały. Zbyszek wyjaśnił, że przyjechał na polowanie, jak za starych lat. Sąsiad zapytał czy długo zostaje, a upewniwszy się, że tak, zaprosił na wieczorną wódeczkę.

– Życie tu jest lepsze – powiedział do siebie Zbyszek, odprowadzając wzrokiem miejscowego. Wyprostował się, oceniając pobojowisko. Sądząc po pustych łuskach, wystrzelał dobre kilkanaście pocisków. Z pewnym zaskoczeniem zanotował też fakt kilku pustych butelek, których nie pamiętał. Ból zniknął, ale znowu poczuł tę pustkę towarzyszącą urwanemu filmowi.

Uprzątnął samochód i zabrał się za koszenie trawy na podwórzu. Zarośla ustępowały niechętnie, ale parł do przodu. Czyścił kosę elektryczną i atakował znowu. Wreszcie jego oczom ukazało się podwórko, takie jak pierwszego dnia po kupnie. Obraz wrócił do niego z całą intensywnością. Milena uśmiechała się po swojemu, lekko odchylając głowę. Powietrze miało swój zapach, typowy wyłącznie dla wiosny odzianej w różowiejące wieczorne niebo. Zdziczałe koty przechadzając się po dachu, obdarzały ich niechętnie swoją uwagą. Jego żona nigdy nie milkła, więc tamtego wieczoru nie mogło być inaczej. Dzisiaj Zbyszek nie potrafił powtórzyć niemal żadnego jej słowa, ale był pewien, że usta Mileny były pełne wizji, planów i marzeń. Tamtego dnia namalowała dla niego całe ich szczęśliwe życie. Niestety zapomniał jakich użyła kolorów, znał wyłącznie zakończenie.

Zabrał się do szykowania obiadu. Ledwo rozpałił grill, a zwabiona zapachem Snifka

wychyliła swój kudłaty łeb z krzaków. Przeprosił ją i poczęstował podwójną porcją mięsa. Potem wyłożył na ogrodzeniu puste butelki, do których zaczął strzelać, ćwicząc celność. Jeszcze na służbie regularnie korzystał z policyjnej strzelnicy, ale teraz czuł się, jakby na nowo odkrywał swoje ręce, oko czy palec oparty na spuście. Pies tym razem lepiej zniósł huk. W pierwszym momencie Snifka schowała się za samochodem, ale po kilku następnych strzałach wystawiła śmieiej pysk. Ostatecznie widząc, że jej pan nadal stoi i ma się dobrze, podeszła bliżej. Ucieszyło to Zbyszka. Nie mogła pamiętać jego wyjazdów, nie było jej wtedy jeszcze na świecie. Ale zawsze marzyło mu się, że dołączy do niego pies gończy, tak jak na tych starych, szlacheckich obrazach. Głupie to było, ale cóż poradzi. Rzucił jej jeszcze trochę jedzenia w ramach nagrody. Kiedy tak pałaszowała, zniósł broń do piwnicy i zamknął w pancерnej szafce. Potem nabrał wody ze studni za domem i obmył się na podwórzu. Pompa doprowadzała wodę do prysznic, ale chciał poczuć się bardziej prawdziwy. Przynajmniej tak by powiedziała Milena. Uśmiechnął się.

## 5

Dni zaczęły mijać bardzo szybko. Lato przeszło w jesień, nadal jednak było wyjątkowo pogodnie. Zbyszkowi udało się złowić trochę zwierzyny, a sąsiedzi bardzo chwalili przynieszoną przez niego dziczyznę. Raz czy dwa odwiedzili go nawet przyjaciele ze starych czasów, aby posiedzieć z nim przy szkle i powspominać dawne akcje. Ich twarze wydawały się nieznane. Historie, które opowiadali nie dawały się bliżej zlokalizować na osi życia. Zbyszek zdążył przyzwycząić się już do tej dolegliwości, zaczął więc przyjmować to z pewną dozą obojętności. Niepokoił go jedynie ból w czaszce, powracający za każdym razem, kiedy pustka wspomnień napotykała ciąg faktów przedstawiany przez jego bliskich. Wtedy pomagało niezawodne szkło, wiernie stróżujące coraz bliżej dłoni. Czas jednak mijał, a remont zatrzymał się w tym samym punkcie, w którym Snifka przestała bać się broni palnej. Następnie niepostrzeżenie cofnął się o krok razem z zarastającym podwórkiem. Zrozumiał to, patrząc w ciemne piwniczne świetliki nadal otoczony zakurzonymi pudłami.

Raz jeszcze spróbował doprowadzić życie do porządku. W miarę jak dom odzyskiwał barwy, Zbyszek czuł się jakby wracała też jego świadomość. Zaczął metodycznie porządkować piwnicę. Wszystko co jednoznacznie przywodziło na myśl Milenę pakował do kartonów. Rzeczy przydatne segregował i umieszczał na odpowiednich regałach. Spomiędzy hałdy śmieci wyłonił się stół z zaśniedziałą cyrkularką, komplet noży, haków, igieł z grubymi niciami, obcęgi oraz inne potrzebne przyrządy. Przypominał sobie dźwięk przecinanej skóry

i mlask oddzielanego mięsa. Dźwięk kapiącej do wiadra krwi zawibrował na skraju pamięci. Gdzieś pod ścianą, znad pożółkłych zębów błysnęły do niego martwe ślepie. Podeszedł bliżej i oświetlił gromadę wypchanych stworzeń. Kiedyś bardzo chciał uświetnić tę przestrzeń samodzielnie przygotowanymi trofeami. Jednak, mimo że był dumny z niektórych ze swoich zdobyczy myśliwskich, to taksydermia w jego wykonaniu wyłącznie ujmowała powagi jego ofiar. Zwierzęta stawały się karykaturalne. Przesztawały przypominać swój gatunek. A jednak czuł do nich jakiś sentyment. Pogłaskał jednego ze stworków po zakurzonej futerku. Nachylił się do pyszczka.

– Nie ma w tym życia – powiedział.

Przywołał Snifkę i pogładził jej ciepły łeb.

– Dosyc tego na dzisiaj.

## 6

Tym razem się udało. Snifka wytropiła okazałego daniela. Zbyszek ucieszył się, ponieważ nie miał w kolekcji jeszcze żadnego poroża. Poprawił się w swojej kryjówe. Przymierzył dokładnie, mając na uwadze swoją towarzyszkę, która pchana jakimś impulsem w nieprzewidywalny sposób mogłaby nieszczęśliwie wskoczyć na linię ognia. Na taki obrót spraw nie mógł pozwolić. Wyczekał jeszcze, aż wreszcie nacisnął spust. Strzał był czysty i zwierzę padło na miejscu.

Podeszedł do ciała i ułożył je w prowizoryczny pokot. Jego ruchy były mechaniczne. Od dawna nie robił zdjęć, ale coś wewnątrz kazało mu oddać szacunek ofierze choć na krótką chwilę. W milczeniu przyjrzał się wynikowi swojej pracy. Z zadowoleniem pokiwał głową. Przykucnął i zarzucił zdobycz na barki. Sapiąc z wysiłku, doczłapał do miejsca, gdzie zaparkował samochód. Załadował pakę i przykrył brezentem. Do domu wrócił w znacznie lepszym nastroju.

Zwykle w pierwszej kolejności zajmował się mięsem. Potrzebowało ono odpowiedniego przygotowania w czasochłonnym procesie wędzenia lub marynowania. Owoce pracy nie były natychmiastowe, ale warte zachodu. Były też wyczekiwane przez okolicznych mieszkańców, z którymi zawiązywał coraz bliższe więzi. Tym razem jednak oddzielił mięso niemal bezwiednie. Surowy materiał odsunął na bok, nie kwapiąc się nawet by umieścić go w lodówce. Jego uwagę przykuła skóra i kości. Rogi były monumentalne. Przełknął ślinę.

Działał w malignie. Ręce same znajdowały odpowiednie szwy. Dokrajał. Dopychał.

Zbudował stelaż, który stopniowo oblekał ciałem. Nie wiedział nawet ile to trwało, ale w pewnym momencie światło zgasło i osunął się na ziemię ze zmęczenia. Kiedy odzyskał przytomność, okazało się, że leży pomiędzy swoimi starymi trofeami. Stworki stały nad nim w półkolu. Przyglądały się mu martwymi oczkami. Uruchomiona piła nadal wyla.

Wstał i ocenił swoje dzieło. Wypchany stwór był gotowy, ale nie przypominał daniela. Było w nim coś niepokojącego. Boki zapadły się, w innych punktach skóra wydawała się ledwo okrywać ustawione pod niewłaściwym kontem kości. Zbyszek wpadł w szal. Zaczął okładać rzeźbę. Pięści przerywały szwy i nurkowały w środku. To jeszcze bardziej wyprowadziło go z równowagi.

Odsunął się zdyszany. Był pewien, że paciorkowate ślepie śmieją się z niego. Zbyszek też się zaśmiał.

– Naprawię cię kolego – powiedział ochrypłym głosem.

Chwytał pierwsze ze starych trofeów i zaczął przyszywać do rzeźby. Kiedy skończył z ostatnim, ułożył się w pokocie przed Zwierzem. Zasnął ciężkim, pustym snem. Za okienkami zagrzmiało.

## 7

Nie był pewien, ile wszystko to trwało, ale stracił podczas tego amoku dziesięć kilogramów. Stracił też Snifkę. Pies musiał przychodzić do piwnicy, ale Zbyszek w szaleństwie go nie zauważał. Wreszcie biedaczka zdechła. Zaszyl ją w brzuchu stwora. Zwierz błysnął do niego oczami i Zbyszek zobaczył w tych oczach ufność swojej towarzyszki. Przyłożył dłoń do wytartego boku. W środku coś pulsowało. Nachylił głowę i usłyszał ciche bicie serca. Zostało już tylko jedno do zrobienia.

– Remont musi zostać skończony.

Wygramolił się z piwnicy jak borsuk budzący się z zimowego letargu. Schody były śliskie od wody ściekającej z góry. Parter został doszczętnie zalany. Zbyszek skierował się do opuszczanej drabinki prowadzącej na poddasze. Nie odwiedził jeszcze tego miejsca, odkąd sprowadził się tu na nowo. Tak jak piwnica stała się jego światem, tak poddasze zawsze należało do Mileny. To tutaj znikwała na całe dni zatopiona w twórczym szale. Potrafiła malować godzinami bez jedzenia, picia ani chwili wytchnienia. Z twarzą pokrytą farbą i ustami opadłymi z wycieńczenia. Coś z tym miejscem było nie tak. Zbyszek zatrzymał się w połowie drabiny, aby przetrzeć czoło. Ręka rozmasowała zwierzęcą juchę, w której był ubabrany. Z klapy nad nim sączyły się strużki wody. Nagle uderzyło go straszliwe pragnienie.



Wystawił język, żeby złapać spadające krople. Odsuwał od siebie moment konfrontacji z tym pomieszczeniem z jeszcze jednego powodu. Pracownia stanowiła sedno Mileny. Nie tylko oddawała jej całe weekendy, ale też stale opowiadała mu o obrazach. To wokół tych obrazów krążył cały jej świat. Ten sam świat, w którym od piętnastu lat mieszkał też Zbyszek. Bał się tego, co stanie się z jego głową, kiedy pustka napotka dokładną dokumentację jego życia. *Prawdopodobnie pęknie*, pomyślał i pchnął zawias.

Nie był pewien czy poczuł ulgę czy rozczarowanie. Płótna były rozmoknięte. Wszystko co go otaczało przypominało kleksy. Kolory spadały ze sztalug i wijąc się, pełzły ku jego stopom. Cofnął się nieco, aby go nie ugryzły. Było dokładnie tak jak nie pamiętał. Na zewnątrz już się rozpogodziło.

Podszedł do dziury w dachu, której nadal nie naprawił. Wystawił głowę ku niebu i wciągnął powietrze głęboko w płuca. Obrócił się raz jeszcze w stronę obrazów. Wybrał w telefonie numer Mileny.

– A wiesz, że właśnie o tobie myślałam? – powiedziała.

Opowiedział jej o remoncie. Powiedział, że złapał wreszcie kontakt z sąsiadami. Zaprosił na drinka na starych śmieciach. Jako przyjaciele. Zgodziła się z ochotą. Po zakończeniu rozmowy zniósł wszystkie płótna do piwnicy. Poszedł umyć się dokładnie, a potem wysprzątał dom. Czuł niecierpliwość i podniecenie.

## 8

Przyjechała punktualnie, ubrana w jego ulubioną sukienkę. Uśmiechała się uroczo i pachniała kwiatami.

– Cieszę się, że ruszyłeś – powiedziała – ważne, żeby nie wracać do tego, co już minęło.

Zaprosił ją do środka. Przeszli do salonu.

– Chcesz coś do picia? Coś mocniejszego na znieczulenie przed wspominkami?

– Nie mogę, przyjechałam samochodem.

– No to może chociaż kawę albo herbatę?

– Herbata będzie doskonała na rozgrzewkę. Na zewnątrz zrobiło się już nieprzyjemnie.

– Zawsze możesz zostać na noc – powiedział z kuchni, zalewając filiżankę wrzątkiem.

– To też twój domek.

– Zbigniew...

– Żartowałem.

Postawił porcelaną na niewielkim stoliku oddzielającym ich fotele. Usadowił się naprzeciwko i z przekrzywioną głową zlustrował żonę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Jej oczy były ciepłe, ale palce lewej dłoni rytmicznie uderzały o skórę torebki. Prawa odruchowo odgarnęła kosmyk włosów. Herbata leżała między nimi, parując delikatnie.

– Muszę przyznać, że włożyłeś tu sporo pracy – powiedziała Milena. – Jestem pod wrażeniem.

– Dziękuję.

– Słuchaj Zbyszek, wiesz że musimy to w końcu oddzielić grubą linią. Tak będzie lepiej.

Wyciągnęła z torebki dokument rozwodowy i starannie ułożyła go po jego stronie stolika.

– Słuchaj, ja wiem...

– Masz długopis? – przerwał jej.

– Co? Oczywiście, poczekaj, mam. – Raz jeszcze dłonie zanurkowały do skórzanego wnętrza. Zatrzymała się nagle i zapytała: – Nie jesteś zły?

– Jak ci się wiedzie, Milena?

– Mnie?

– Tobie.

Wtedy pękła między nimi ta bariera wiążąca słowa w krótkie snopki. Zbyszek podpisał dokumenty i zaczęli rozmawiać tak jak kiedyś. Znowu byli ciekawi siebie. Milena wyznała mu, że tak naprawdę nie ukończyła żadnego obrazu, odkąd opuściła to miejsce. Była przekonana, że nowy życiowy start pozwoli jej ruszyć z miejsca, ale wciąż krążyła obok tych samych tematów. Pusta przestrzeń była ciasna i doprowadzała ją do „obłądu” – zamachała palcami. Z nikim się nie spotykała, zapewniła. On opowiedział jej o sąsiedzkich biesiadach kończących lato. O tym, jak każdy przynosił specjały, w których czuł się najlepszy. Stoły wypełniały się wędlinami, miodami, sałatkami oraz najróżniejszymi przetworami. Wożony tytoń zostawiał osad na skręcających bibułę opuszkach, a głosy śpiewaków z czasem tonęły w rozlewanych kieliszkach. Zapytała go co ze Snifką. Powiedział, że odeszła.

– Tak mi przykro – westchnęła. – Wiem, jak kochałeś tego psa!

– Jak widzisz, nie tylko ty mnie porzuciłaś. – Wstał. – Chodź, chce ci jeszcze coś pokazać.

Gestem wskazał jej piwnicę. Popatrzyła na niego pytająco.

– To nie potrwa długo – zapewnił. – Potem możemy rozstać się w pokoju.

Podeszła bliżej i położyła dłoń na jego ramieniu. Poczul jej oddech. Objął ją delikatnie, a kiedy już byli u szczytu schodów pchnął zdecydowanie. Milena niezdarnie przeskoczyła kilka stopni zanim straciła równowagę. Z piskiem runęła w dół. Coś chrupnęło. Zszedł za nią.

Przeniósł zwiotczone ciało na blat cyrkularki. Umieścił jej głowę na linii ostrza. Uruchomił silnik. Usta Mileny poruszyły się. Próbowwała coś powiedzieć. Jej wzrok zatrzymał się na jednym z plamiastych płócien pokrywających ściany pomieszczenia. Zbyszek docisnął jej głowę do piły i przytrzymał, gdy szarpnęło. Krew z miazgą wystrzeliła na wszystkie strony z mokrym mlaśnięciem. Przy ciele pozostała połowa czaszki kończąca się poniżej linii nosa. Były mąż cmoknął z grymasem. Poprawił cięcie nieco niżej.

– Znacznie lepiej – ocenił. Z głębi pomieszczenia słyszał ryk wszystkich głów Zwierza. Cienie rzucane przez jego karłowate kończyny ruszały się na ścianach.

Położył trupa przed rzeźbą. Odstąpił krok w tył. Zwierz jak zawsze, gdy na niego patrzył, zastygał w bezruchu. Zbyszek stał tak jeszcze chwilę. Wreszcie wrócił na parter. Nalał szklankę wódki i wychylił głęboki łyk. *Coś było nie tak*, pomyślał. Zawirowało mu w głowie. Usłyszał ciche kwilenie. Wrócił do piwnicy.

Zwierz stał w tej samej pozycji. Truchło Mileny nadal leżało przed nim. Zbyszek położył dłoń na największym łbie stwora. Ciepło, które wcześniej wyczuwał zanikało.

– Nie chcesz jeść padliny? – zapytał.

Zwierz zawył kakofonią wszystkich paszczy.

Zbyszek przymierzył rękę do ostrza. Uruchomił piłę. Ból niemal odebrał mu świadomość. Poczul gorąco i zimno jednocześnie. Obraz zawirował. Ostatkiem sił podniósł jedyną ręką odciętą kończynę z zakrwawionego blatu i wepchnął do gardła Zwierza. Odczołgał się pod ścianę. Resztką świadomości obserwował jak paszcza się zatrzęsnęła a potężne cielsko ruszyło w jego stronę, przestępując ciężko z nogi na nogę. Pyski nachyliły się nad spoconą twarzą Zbyszka. Zwierz obwąchał go nieufnie. Polizał po czole. Nagle prychnął niezadowolony. Zawrócił w głąb pomieszczenia. Niezdarnie manewrując kończynami, usadowił się pod przeciwległą ścianą, tam gdzie wcześniej leżały zapomniane trofea. Zamrugnął jeszcze, aż wreszcie zastygł. Martwe ślepie błysnęły wpatrzony w gasnącego Zbyszka.



# NIE PATRZ!

Sandra Gatt Osińska

Zawsze bałem się naszej piwnicy. Pod starą, powojenną kamienicą, w której dorastałem z rodzicami, ciągnął się skomplikowany labirynt korytarzy i komórek, przyprawiający mnie o gęsią skórkę. Od najmłodszych lat unikałem tego miejsca. Nie musiałem słuchać strasznych opowieści kolegów z podwórka, żeby wiedzieć, że mieszkało tam zło.

Gdy matka próbowała wygonić mnie po słoiki, wymigiwałem się. Wciąż miałem ciekawsze zajęcia – odrabianie lekcji, spotkania z kolegami, wymyślone zajęcia dodatkowe... cokolwiek, byleby nie zejście na dół.

Ale nie tego dnia. Nie w to słoneczne, sobotnie popołudnie. Umówiony z najlepszym przyjacielem Jurkiem, właśnie zbierałem się do wyjścia, kiedy nagle matka zatrzymała mnie

w przedpokoju. Wręczyła mi charakterystyczny, pleciony koszyk i tonem nieznoszącym sprzeciwu oznajmiła:

– Dziesięć średnich słoików, tych po dżemach. To ledwie chwila. Zejdiesz, wrócisz i będziesz wolny.

– Ale... – wymamrotałem, lecz matka nie słuchała.

– I pamiętaj o kluczach! – krzyknęła po przekroczeniu progu kuchni, z której dochodził słodki zapach gotowanego z przyprawami octu.

\* \* \*

– To tylko piwnica. – Wzruszył ramionami Jurek, czekający na dole schodów. – Pójdę z tobą, zgarniemy słoiki i pójdziemy do parku. Podobno przy Smocznej Jamie leży martwa wiewiórka. – Jego oczy zaświeciły się, gdy napomknął o gryzoniu.

Łatwo mówić. Piwnica to ciemność, pająki i inne koszmary pobudzające dziecięcą wyobraźnię. Przekręciłem klucz w zamku i zapaliłem światło. Widoczna z góry część korytarza rozświetliła się, ale żarówka nad schodami jak zwykle nie działała. Wyciągnąłem latarkę z koszyka i spróbowałem ją zapalić. Cholerny grat uwielbiał się zacinać.

Jurek zbiegł po nierównych schodach, a ja poczłapałem za nim. W głowie słyszałem słowa ojca, które zacząłem powtarzać niczym mantrę: *Nie bądź pizza*.

Gdy moje stopy dotknęły podłogi, skierowałem się w prawo, w stronę naszej komórki. Już witałem się z jej drzwiami, gdy zatrzymał mnie pełen zachwytu okrzyk Jurka, dochodzący z przeciwnej strony korytarza.

– Łał, a to dokąd prowadzi?

Nie musiałem się odwracać, by załapać, o czym mówił. Niechętnie spojrzałem na przyjaciela.

– Nie wiem – odparłem, wzruszając ramionami i patrząc na ogromne, pancerne drzwi. – To chyba jakiś bunkier, jeszcze z czasów wojny.

Z przerażeniem dostrzegłem, że dotychczas zawsze zamknięte drzwi stały lekko uchylone.

– Tata zabrania mi tam wchodzić – skłamałem na szybko, aby uniknąć tematu. Tak naprawdę mojego ojca nie obchodziło, co robiłem. Ważniejsze piwo i telewizor. I żebym się słuchał w domu.

– Czego oczy nie widzą... – podjął Jurek, otwierając szerzej drzwi.

– Jurek, nie! – Upuszczając koszyk, próbowałem złapać kolegę. Nim sięgnąłem jego ramienia, ten zniknął za tajemniczymi drzwiami.

– Ku przygodzie! – ryknął, śmiejąc się głośno.

Niechętnie ruszyłem za nim. Biegłem ile sił w nogach, błędząc w labiryncie korytarzy. Podążając za dziecięcym śmiechem, skręcałem to w lewo, to w prawo, zatrzymywałem się w ślepych zaułkach. Byłem wściekły na Jurka, jego dziecinne zachowanie. *Cholerny gówniarz, ja mu dam!*, pomstowałem na niego w myślach.

Zatrzymałem się na końcu jednego z korytarzy i zgiąłem w pół. Próbowałem złapać oddech. Moje oczy mimowolnie powędrowały w kąt, gdzie zauważyłem duży cień. Zaświeciłem latarką na, jak się okazało, martwego szczura. Fakt, że przebywałem tuż obok zdechłego zwierzęcia wywołał u mnie wstręt. Lecz gdy przyjrzałem się ciału, poczułem stające dęba włosy. Nie wierzyłem własnym oczom.

Nawet nie zauważyłem, kiedy koło mnie pojawił się Jurek. Podskoczyłem, gdy klepnął mnie po plecach. Zaśmiał się z mojej reakcji, ale szybko przestał, zobaczywszy, na co patrzę.

– Ale wielki! – krzyknął z entuzjazmem, jak gdyby czytał mi w myślach.

– Jak kot... – dodałem. – Nigdy nie widziałem tu tak wielkich szczurów.

Jurek podszedł bliżej i kucnął nad zwierzęciem. Także się przysunąłem. Chłopak wyciągnął rękę w stronę zwłok.

– Jurek, nie! – zaprotestowałem, jako ten ciut starszy i mądrzejszy.

– Przecież mnie nie ugryzie – odparł beztrąsko i dotknął zwierzęcia. Najpierw delikatnie, chyba samemu nie wierząc w swoje słowa, zanurzył dłoń w futrze. – Nadal ciepły! – krzyknął z niedowierzaniem.

– Żartujesz sobie. – Spojrzałem badawczo na szczura.

– Naprawdę! No, dotknij!

Nim zaprotestowałem, pociągnął mnie za dłoń i położył ją na szorstkim futrze. Moje obrzydzenie szybko przerodziło się w zdziwienie. On naprawdę emitował ciepło! Zwróciłem wzrok w kierunku Jurka. Chłopak wziął w ręce ciało i zaczął nim obracać. Mimo że ciepłe, pozostawało nienaturalnie sztywne. Żadnych urazów czy ugryzień. Szczur był nietknięty.

– Co mu się przytrafiło? – zapytał Jurek.

– Wygląda, jakby padł tak, jak stał. – Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

Nasze dywagacje przerwał hałas. Coś, co przypominało upiorne pianie koguta. Zamarliśmy. Przez całe dwunastoletnie życie nie słyszałem takiego dźwięku. Ani w mieście, ani na wsi. Przerażony Jurek spojrzał na mnie, szukając pomocy, a po chwili uniósł wzrok ponad moją osobę.

To, co wtedy się wydarzyło, na zawsze wryło się w moją pamięć. Najpierw oczy Jurka rozszerzyły się do granic, a usta zastygły w niemym krzyku. Na jego twarzy odmalował się czysty, pierwotny lęk. W niczym już nie przypominał mojego przyjaciela, a groteskową, pośmiertną maskę, którą ujrzałem sekundy przed tym, jak zeszywniały Jurek padł na ziemię. Z wrażenia upuściłem latarkę. Zanim spoczęła obok chłopaka, zdążyła po raz ostatni oświetlić jego bladą twarz, po czym zgasła, porzucając mnie w półmroku.

Nie zamierzałem się odwracać, by zobaczyć, co to takiego. Wystarczyło mi, że przeraziło Jurka na śmierć. Nie uśmiechało mi się umierać; nie tu, w znenawidzonej piwnicy. Jednakże nie zdołałem zmusić nóg do biegu. Sterczałem tam jak sparaliżowany, mimowolnie przysuwając się do ściany. Stopą wyczułem jakiś kształt. Czy to szczur? Równie dobrze mogła to być noga Jurka. Nie chciałem wiedzieć, nie chciałem patrzeć. Żółć paliła mi gardło, a łzy cisnęły się do oczu.

*Człap, człap.*

Upiorne pianie rozległo się tuż za mną. Słyszałem kroki, pazury drapiące o betonową posadzkę. Próbowałem przypomnieć sobie jakąkolwiek modlitwę, ale nic nie przychodziło mi do głowy. *Zdrowaś Maryjo... któraś jest w niebie... aniele, stróżu mój... miej mnie w opiece.*

*Człap, człap.*

Śmierzący oddech tuż za moimi plecami przyprawiał o mdłości. Zamknąłem oczy i nasłuchiwałem. Cokolwiek stało za mną, nie kryło w sobie nic z człowieka.

*Człap, człap.*

Zbliżyło się. Wąchało powietrze wokół mnie. A kto wie, czy nie delektowało się moim zapachem?

*Człap, człap.*

Przeszło obok, a ja coraz bardziej wlewałem się w ścianę. Pragnąłem stopić się z jej porowatą powierzchnią, stać się jednością, nie być tu, znajdować się w domu, z dala od piwnicy. Pomyślałem o mamie, tęskniłem za nią, zarazem przeklinając, że to przez nią tu wylądowałem.

Człapanie zaczęło się oddalać. Coś śliskiego, pokrytego łuską, otarło się o moją nagą łydkę. Wzbierał we mnie krzyk, ale wiedziałem, że to najgłupsza rzecz, jaką mogę zrobić. Zakryłem usta dłonią, przygryzłem wargi. Prawie zajęknąłem, gdy ponownie rozległ się okrzyk potwora. Trudniejsze od milczenia okazało się jedynie utrzymanie zamkniętych oczu, gdyż wciąż miałem przed nimi twarz martwego Jurka.

*Człap, człap.*

Oddalało się. Czy to ten moment? Czy niebezpieczeństwo minęło?

*Uciekaj* – usłyszałem szept Jurka.

Schyliłem się po latarkę i zerwałem do biegu. Lewo, prawo, prawo, ślepa uliczka. Którędy dalej? Do tyłu, lewo. Serce biło mi jak szalone. Lewo, lewo. Znow zapędziłem się w kąt. Prawo, do przodu. Gdzie jest bestia? Za mną, przede mną?

*Cofnij się!*

Skoczyłem do tyłu w ustęp i zgasilem światło latarki. Gdy usłyszałem pianie, zamknąłem szybko oczy. Coś człapało w moją stronę. Adrenalina buzowała w moich żyłach, rozsadyła czaszkę. Przebiegło tuż obok, słyszałem pazury obijające się o beton.

*Teraz.* – Znowu ten szept.

Skierowałem się w przeciwną stronę niż bestia. Biegłem co sił w nogach. Skręciwszy w korytarz na prawo, ujrzałem wyjście. Kiedy wypadłem z koszmarne labiryntu, zamknąłem za sobą drzwi. Oparłem się o właz bunkra, by złapać oddech, gdy nagle coś uderzyło w niego z hukiem. Krzycząc, uciekłem po schodach na górę, prosto do swojego domu.

\* \* \*

– Co tak długo? – zawołała matka, gdy tylko przekroczyłem próg. Wyszła z kuchni i spojrzała na mnie, marszcząc brwi.

– Jurek nie żyje – wymamrotałem.

– Znowu bawiliście się w wojnę? – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Miałeś przynieść słoiki. Czy ty zgubiłeś koszyk babci? – zasypała mnie pytaniami.

– Mamo, coś w piwnicy zabiło Jurka!

Westchnęła zrezygnowana.

– Mam zawołać ojca?

\* \* \*

Zmusiła mnie, bym zszedł ponownie. Wszelkie siły opuściły moje ciało, kiedy zatrzymałem się na piwnicznych schodach. Stąpałem krok po kroku, pod gniewnym spojrzeniem ojca. Nie trzeba było dużo czasu, by zdenerwowany pchnął mnie pod ścianę i przebiegł obok.



– Dzień dobry, panie Kowalski – usłyszałem, jak na dole ojciec wita się z dozorcą. Poczulem się trochę pewniej ze świadomością, że na dole przebywały dwie dorosłe osoby. Dołączyłem do ojca.

– Dzień dobry. – Także przywitałem dozorcę. Spowolniłem kroku, gdy zauważyłem, że mężczyzna stoi przy znajomych drzwiach. Wyciągał właśnie klucz z zamka i sprawdzał, czy są zamknięte.

– Nie widział tam pan chłopca w wieku mojego syna? – zapytał ojciec.

– Nikogo. – Pokręcił głową pan Kowalski. – I nie radzę dzieciom zapuszczać się w tę stronę. Któż to wie, co czyha za drzwiami tego bunkra? – Uśmiechnął się tajemniczo, a ja od razu poznałem, że skłamał. Po chwili dodał, jakby dla obrony: – To bardzo stara konstrukcja.

Chciałem wykrzyknąć mu to w twarz, nazwać oszustem, wymusić otwarcie bunkra, by znaleźć ciało Jurka... Lecz wtedy czyjaś dłoń spoczęła na moim ramieniu.

*To nic nie da* – wyszeptał głos, który, jak wtedy się zorientowałem, jedynie ja mogłem usłyszeć.

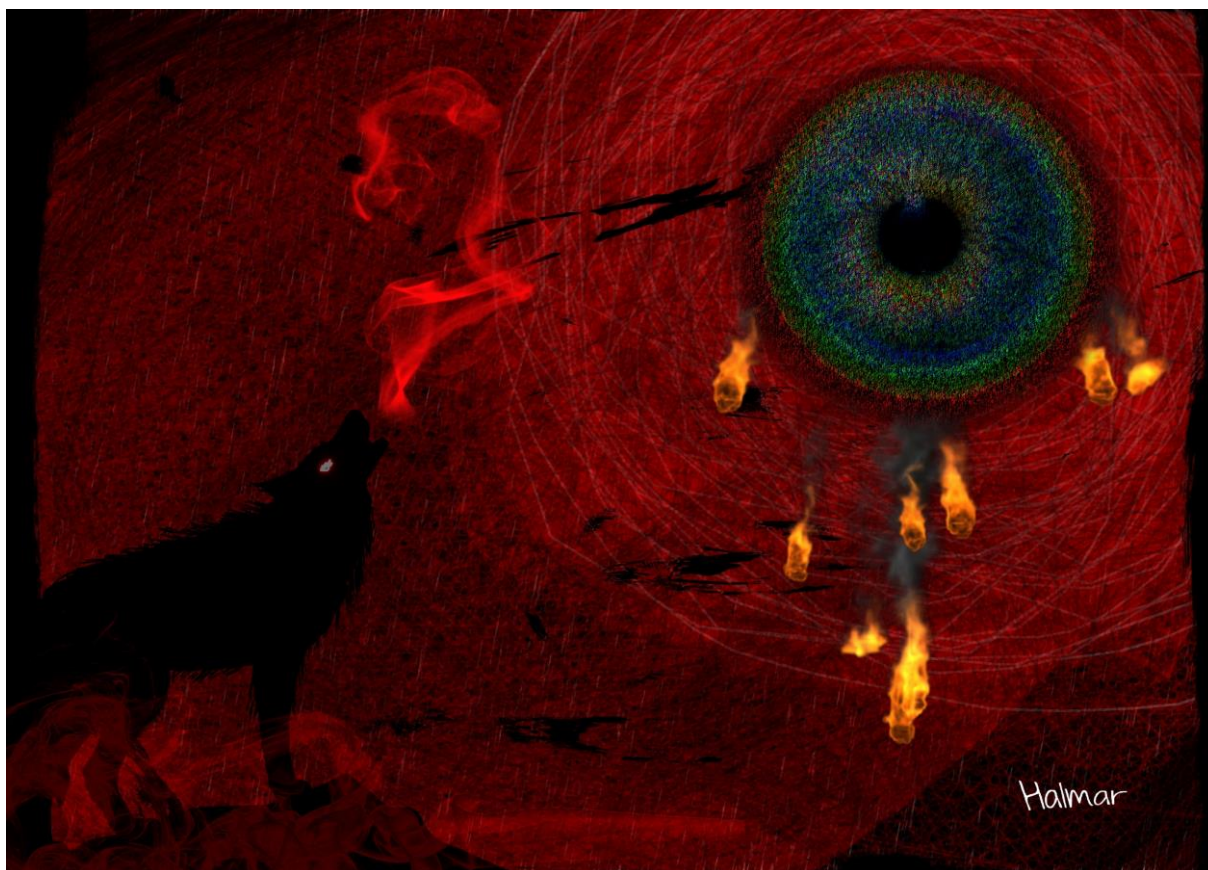
– No nic. Miłego dnia, panie Kowalski. – Ukłonił się mój ojciec. – A ty chodź już, matka czeka na słoiki. – Szarpnął mnie za ramię. – Pogadamy w domu – dodał ciszej, kładąc drugą rękę na pasku spodni.

\* \* \*

Jurek nie wrócił do domu. Ani tego, ani następnego dnia. Zniknął, a rodzina nie zamierzała go szukać. Uznali, że uciekł, jak zwykła to robić znaczna część dzieciaków z naszej dzielnicy. Tylko ja wiedziałem, gdzie tak naprawdę się podział.

Ja.

I dozorca.



# OJCIEC UBIŁ PSA

Szymon T. Cwen

*Ale zegar nigdy nie wybije godziny samego tylko bólu.*

Arthur Rimbaud, *Sezon w piekle*

Chłopska rodzina z nas była. Z matką i ojcem mieszkałem. Rodzicielka moja Bogu i Bogarodzicy dziękowała, że rodzeństwa nie miałem, bo by podobno jej mąż wszystkie dzieci zamęczył. A ja się uchowałem, choć mocno też w kość dostawałem. Co i rusz po wsi jego donośny głos me imię – Kosma – krzyczący wniebogłosy się roznosił, a nie raz pasem wychłostany zostałem albo i gołymi pięściami obity. Często mnie i matkę bił równo. Miał

wielkie łapska, jakby ukradł je jakiemuś cyklopowi. Dłońmi mógł objąć pień niejednego drzewa.

Wiosna była. Nasz pies jakiś niemrawy się wydawał. Ojca wkurzał taki ogar, co domu nie chroni jak należy, więc go w łeb trzonem siekiery wałnął, a potem zakopał gdzieś pod lasem i surowo zabronił mi go szukać. Nawet o tym nie myślałem, bo mnie straszyla matka, że się jeszcze od tego truchła czymś zarażę, a tedy to i mnie by ojciec ubił. Poza tym, po co odkopywać truchło? Jeszcze psi duch by w gniew wpadł.

Dni mijały, bez psa tak się cicho zrobiło na gospodarstwie. Ojciec szukał nowego, a ja mu musiałem pomagać. Chodził do sąsiadów i pytał, czy ktoś nie ma do oddania, ale tamci za nic w świecie żywego zwierzęcia mu w ręce by nie dali, bowiem ze swego okrucieństwa znany był w okolicy. Czuli oni, że nasze tak przypadkiem z dnia na dzień nie zniknęło, a na jakieś katusze innego stworzenia nie chcieli skazywać.

– Precz! I żebyś się tu, nikczemniku, więcej nie widziała! – za ojcem krzyczała pewna kobieta, Helena. – Przeklinam cię! A niech cię jakie lichy pożre!

Kobieta ta była bardzo stara, mieszkała na odludziu, daleko w lesie. Jej całą twarz pokryły bruzdy, ledwie widziała przez przymrużone oczy, a plecy tak się jej skrzywiły, że prawie zawsze patrzyła w ziemię. Słów przez nią wypowiedzianych bym nie lekceważył, bo od zawsze myślałem, że jest szeptuchą. To mi matka powtarzała, a i gdy się do jej domostwa zbliżałem, to jakby jakaś niepojęta przeze mnie energia napełniała powietrze, a od intensywnego zapachu ziół aż mnie mdliło. Wiele razy tam u niej byłem, zwykle mnie ojciec tam wysyłał, żeby choć trochę od starej wyłudzić pieniędzy albo chleba. Nigdy nie zwlekałem z opuszczeniem jej mieszkania.

Większość ludzi obrzuciło ojca klątwami i zastanowiłbym się w takiej sytuacji, jednakże on za nic wziął ich słowa. Odchodził zawsze, przekleństwa mamrocząc pod nosem.

Coraz gorzej się czułem przez sławę mojego rodziciela. Wstyd mi było za niego, bo jak do miasta handlować chodziłem, to i tam o nim gadali, jaki z niego zły jest człowiek.

– Śmiesz się tu jeszcze pokazywać? Nie kupię nic od was, nawet jeśli byś tu jako jedyny stał – powiedział jakiś mężczyzna. Znałem go z widzenia, chyba w niedziele do kościoła we wiosce chodził.

– Panie, nie wiń mnie za czyny ojca – odrzekłem błagalnym głosem, ale on jakby ogłuchł.

Uszczknąć choć grosz mi się udało od tych tylko, co nie wiedzieli, kto ja jestem. W każdym razie niedużo zarobiłem i już się bałem, jak ojciec zareaguje na raczej hiobowe wieści.

Po drodze spotkałem Matyldę, moją równolatkę z sąsiedztwa, z którą bardzo się lubiliśmy. Jej skóra pachniała ziołami, prawie tak jak w domu Heleny, ale ten zapach był łagodniejszy i mógłbym ją wąchać bez końca. Ojciec nienawidził jej i nie pozwalał mi się z nią spotykać, zapewne dlatego, że jej obecność napawała mnie szczęściem.

– A co taka smutna mina? – spytała. Jej uśmiech jak zwykle poprawił mi nastrój.

– Przez ojca nic mi się prawie nie udało dzisiaj sprzedać – bąknąłem. – Najlepiej jakbym twarz zasłaniał... Czuję się obrzucony klątwą.

– A to prawda, że twój ojciec psa ubił? – spytała mnie, łagodnie patrząc mi w oczy, gdy ja napawałem się blaskiem jej blond włosów. – Spokojnie, przecież nie masz z tym nic wspólnego.

– Niestety to prawda. Tym czynem jakby rzucił urok na całą naszą rodzinę i wszyscy na nas patrzą spode łba. Nigdy tylu ludzi nie obrzuciło nas tyloma obelgami. Mam nadzieję, że uda mi się wkrótce uwolnić od tego samolubnego potwora. Najchętniej bym uciekł z tobą jak najdalej, ale boję się, że on mnie i tak znajdzie i w końcu zabije.

– Nie bój się, Kosmek. Z tyloma klątwami na garbie długo nie pożyje i nie będziesz musiał uciekać.

– Może i masz rację – wymamrotałem.

– Jutrzejszej nocy zechcesz przyjść do mnie? – spytała, gdy dochodziliśmy już do wioski.

– Będę czekała w stodole, tak jak zawsze – wyszeptała mi do ucha, po czym pocałowała w policzek.

Następnego dnia rano obudził mnie ojciec. Wziął mnie za fraki i wyciągnął na dwór. Nie opierałem się ze strachu. Myślałem, czy przypadkiem staremu do końca zmysłów nie odjęło. Rzucił mnie na ziemię.

– Jak to wytłumaczysz? – spytał diablim głosem.

Podniosłem głowę i zobaczyłem wykowany dół pod jednym z drzew na obrzeżach lasu. Nie chciałem udawać głupiego; od razu się domyśliłem, że ubitego psa ktoś odkopał.

– To nie ja! – jęknąłem. – Co ja miałem, truchło żreć?!

Ojciec trochę się uspokoił, ale fakt zniknięcia ogara wciąż napawał go wściekłością.

O wyznaczonej przez Matyldę nocy udało mi się z domu wymknąć i spotkaliśmy się w stodole, tak jak się umawialiśmy. Na dworze było chłodno, ale w stodole porządne ściany nie dawały się wdrzeć wiatrowi, poza tym na tyle byłem rozgniewany, żeby nie odczuwać zimna.

– Wyobraź sobie, że ktoś tego psa odkopał, a ojciec mnie o to posądził – powiedziałem, gdy na sianie leżeliśmy i bawiłem się jej złocistymi włosami.

– Nie do pomyślenia. Kto mógłby to zrobić?

– Nie wiem. Powiem ci, że już myślałem, że ojciec chce mnie tam w zamian zakopać – powiedziałem, po czym zagłębiłem się w myślach.

Matylda wybiła mnie z rytmu rozmyślań, pukając mnie biodrem na znak, że znów chce, żebym ją posiadał już wtóry raz tamtej nocy. Nigdy jej nie odmawiałem.

A gdy już prawie zakończyłem swoje sprawy z dziewczką, poczułem, że za boki łapią mnie olbrzymie łapska. Z wielką siłą odłączyły mnie one od Matyldy. Padłem na ziemię i zobaczyłem ojca, który w ciemnościach wyglądał jak jakiś rozwścieczony bies.

– Spać trzeba, bo jutro do roboty, a ty się po stodołach gzisz?!

Patrzyłem na niego i nie mogłem drgnąć. Jakby mi się gardło w skałę zmieniło, nawet nie jęknąłem. Oczami bazyliuszka mnie chyba spetryfikował.

– Zostaw go! – krzyknęła dziewczyna, a tamten spojrzał nań piorunującym spojrzeniem.

– Jeszcze się ośmielasz odzywać, wiedźmo? – Podszedł do niej. – Zaraz się matka i ojciec o wszystkim dowiedzą!

Za nagie ramię ją złapał i zerwał na równe nogi, po czym zaczął ciągnąć w stronę wyjścia. I dopiero wtedy coś we mnie drgnęło, członki jakby z ołowiu znów w ciało się przeistoczyły. Wstałem szybko, podbiegłem i w kark walnąłem tamtego diabła wcielonego. Matylda się wyrwała, ale ojciec dalej stał. Zrobił błyskawiczny obrót w moją stronę i unieruchomił mnie, zakleszczając na moich ramionach swoje wielkie dłonie.

– Śmiesz na ojca rękę podnosić?! – warknął, po czy złapał mnie za szyję i powoli unióśł tak, że nogi mi dyndały nad ziemią.

Powietrza już zaczynało mi brakować. Wtedy usłyszałem dźwięk, który zmroził mi krew w żyłach. Jakiś pies biegł z niewyobrażalną prędkością, zbliżał się tak szybko, że mógłby pewnie i konia wyścigowego prześcignąć. Nie widziałem go, nie widziałem niczego poza wściekłą twarzą ojca, ale czułem, że zwierzę jest coraz bliżej. Chwila ta dla mnie zdawała się wiecznością.

Spadłem na ziemię, a ojciec poleciał w bok. Spojrzałem w jego stronę. Rzucił się na niego pies, nasz kundel. Ten sam, którego ubił kilka dni wcześniej. Miał na łbie ranę po siekierze, ale żył. Sam się odkopał, przeżywszy uderzenie? We wszystko tedy mogłem uwierzyć. Byłem zdumiony i nie wiedziałem, co zrobić.

Ogar bezlitośnie gryzł, rwał ubranie, rozdzierał skórę, a ojciec jakby utracił swoją wielką siłę w zapasach ze swoją ofiarą.

– Pomóż mi! – krzyknął do mnie wyzywająco.

Wstałem chwiejnie, lecz nie myślałem nawet o tym, aby interweniować. Na mą pomoc nie zasłużył.

– Masz za swoje – powiedziałem tylko, patrząc, jak ostre kły zatapiają się w szyi mojego ojca niczym w masło.

Mimochodem ze ściśniętego pyska zaczęła obficie wypływać szkarłatna krew.

Krzyki były przeraźliwe, lecz napawały mnie spokojem.

– Kosma! – wył w cierpieniach. Jego głos coraz bardziej przypominał wycie, lament ubijanej zwierzyny, niedobitej świni.

Przestał się ruszać, lecz pies dalej go oprawiał, a ja patrzyłem. Czułem, że świat stał się piękniejszy.

Spojrzałem na Matyldę, która stała spokojnie obok. Obrzuciłem ją pytającym wzrokiem. Ona przybliżyła się do mnie i pocałowała.

– Teraz już nic cię tu nie zatrzymuje – wyszeptała, po czym złapała mnie za rękę i zaczęliśmy biec.

Nie widziałem dokładnie, ale biegliśmy przez las. Biegliśmy i biegliśmy, wydawało mi się, że knieja nie ma końca. Pomimo chłodu Matylda nago wybiegła i ciepło jej na pewno nie było. Dlaczego tak się spieszyła, że się nawet nie odziała? Dotarliśmy w końcu do chałupki w środku lasu. Weszliśmy przez okno do małego pokoiku i legliśmy na łóżku.

– Co się dzieje? – spytałem, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. – To nie jest twój dom.

– Często tutaj bywam. To jest dom mojej babci.

– Babcia? Nie wspominałaś, że masz babcie – zdziwiłem się.

– Muszę ci wszystko wytłumaczyć. To ja wykopałam twojego psa. Nie żył, więc poprosiłam moją babcie, żeby przywróciła mu życie przynajmniej do momentu, w którym twój ojciec umrze. A teraz jesteś wolny.

– Chcesz powiedzieć, że czary istnieją? Twoja babka to wiedźma? – Nie mogłem uwierzyć.

Matylda pocałowała mnie namiętnie.

– Już nie rozmyślaj. Najważniejsze jest to, że twoje jarzmo zostało zdjęte.

Drzwi do pokoju nagle się otworzyły i pojawiła się w nich Helena ze szczerym uśmiechem na ustach.

– Już jesteście. Witaj w domu, Kosmo – rzekła.

Od tamtego momentu mieszkałem tam. Skończyły się ojcowskie krzyki, katorga związana z życiem pod jednym dachem z tym potworem. Wcześniej nieznaną przede mną bliżej Helena okazała się bardzo miłą i opiekuńczą, choć dalej napawała mnie niepokojem ze

swoimi zdolnościami opisywanymi przez Matyldę. W dalszym ciągu wydawało mi się to nierealne i nie wiedziałem, co o tym myśleć, tym bardziej że nikt już więcej nie wspominał o czarach czy magii.

Do domu rodzinnego tylko raz wróciłem, chciałem spotkać matkę rodzoną, spytać, jak żyje, powiedzieć, że u mnie wszystko dobrze. Nie było mnie zaledwie chwilę, a zdawało się, że minęło co najmniej ćwierć wieku. Drzwi otwarte zastałem na oścież, w pomieszczeniu pełno liści, mebli brakowało, w tym drewnianego łóżka rodziców; co droższe, to pokradzione. Matka jakby zniknęła, rozplynęła się w powietrzu, bo nawet na cmentarzu nie miała mogiły. Pomimo wszystko egzystować bez ojca nie mogła widocznie.

Gdy leżałem w nocy, obejmując śpiącą Matyldę, słyszałem w oddali krzyki. Bardzo dobrze wiedziałem, do kogo one należały. Byłem też pewien jednego: nawet jeśli umarł, najbardziej na świecie pragnął zemsty.

*Kampinos, 7 – 8 IX 2022 r.*



# PRZYSZLI Z PUSTKOWIA

Grzegorz S. Reiwer

Nóż wszedł za głęboko.

– Zepsułeś, dawaj. – Tohru wyciągnął rękę. Jaden podał mu kombinezon z rozcięciem na piersi. – Zniszczony doszczętnie.

Tohru wsadził palce w dziurę i wygrzebał z niej okrągłą, srebrną plakietkę z zielonym czipem w centrum. Rzucił ją wraz z kombinezonem Jadenowi i podszedł do stołu.



– Wezmę zapasowy.

– Skąd? Słyszysz, że pada. Wyjdiesz bez kombinezonu i wrócisz cały w podartych szmatach, bez włosów i biały jak albinos po kąpieli w wybielaczu.

– Z magazynu. Pójdę przed wyjazdem z jednostki.

– Aha.

Tohru odpalił końcówkę papierosa od palnika, jedyne źródło światła w bunkrze. Prycza zaskrzypiała, kiedy na niej legł, założywszy ręce na piersi i wypuszczając kłęby dymu. Jaden skrzywił się, ale postanowił ograniczyć swoją dezaprobatę do cichego chrząknięcia. Miał poważniejszy problem. Nie zdoła naprawić kombinezonu, a do tego czip nadal zawierał logi z wczorajszej imprezy w kantynie.

– I tak musimy czekać aż wróci Nozicki z kapitanem – stwierdził Tohru bez entuzjazmu.

– Powinni niedługo być.

– Yhm – odparł Tohru.

Jaden sprawdził czip. Gdyby tylko udało mi się dostać do komputera jednostki i nadpisać dane. Westchnął ciężko i usiadł na pryczy z plecami przy ścianie. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. Wpatrywał się w płomień palnika i zdrzemnął się. Cienie na ścianie nad łóżkiem Tohru zmieniały się w gęsty dym, wypełniły wnętrze bunkru. Dotykały jego twarzy, rąk, nóg. Ściągały z łóżka na podłogę, która zniknęła, zapadła się w dziurę bez dna. Zrobiło się duszno. Jaden zakaszłał i wtedy obudziło go potrząsanie za ramię.

Tohru stał nad nim z papierosem między wargami, wydmuchując w jego twarz dym. Oczy Jadena łzawiły od oleistego smogu, który wydzielala tania tabaka z domieszką marihuany.

– Wracają – usłyszał.

W oddali zazgrzytały zewnętrzne drzwi. Płomień palnika na stole zamigotał, kiedy wewnątrz otworzyły się i do bunkru wszedł kapitan. Był sam.

– Gdzie Nozicki? – spytał Tohru dowódcę.

Kapitan był barczystym, ponurym mężczyzną. Chodził wyprostowany, jakby zawsze uczestniczył w musztrze. Jego zamiłowaniu do wojskowego reżimu dorównywał tylko pociąg do mocnych alkoholi.

– Od kiedy regulamin zezwala, żeby żołnierz na służbie palił w jednostce? – odparł ochryłym głosem kapitan. Nadal nosił hełm. Kombinezon, grubszy niż te, które otrzymali Jaden i Tohru, powiększała i tak mocno zbudowaną sylwetkę mężczyzny.

Tohru przełknął ślinę.

– Już gaszę – odpowiedział, przykładając papierosa do podeszwy butów.

– Idźcie na obchód.

Jaden zaklął w duchu. Ze zniszczonym kombinezonem nie poradzi sobie na zewnątrz podczas kwaśnego deszczu.

– A Nozicki? – postanowił ratować się regulaminem, który nakazuje, by pomieszczenia bunkrowe zabezpieczało co najmniej dwóch żołnierzy.

– Zaraz wróci. Sprawdza kuchnię przed wyjazdem. No, ruszajcie. – Rozkazał kapitan. Odstąpił od drzwi, czekając, aż zbiorą swoje rzeczy.

Tohru podszedł do szafki z bronią.

– Nie będą wam potrzebne.

Dziwne, pomyślał Jaden. Regulamin nakazuje, by patrole były uzbrojone. Tohru zmrużył oczy i wpatrywał się intensywnie w kapitana, który wyczekująco wlepił wzrok w palnik. W końcu wzruszył ramionami.

– Jaden ma problem z kombinezonem, proszę pozwolić mu zostać.

– Już nie pada. – Odparł kapitan z naciskiem. – Pośpieszcie się. Zostało tylko kilka godzin do wyjazdu.

Jaden i Tohru popatrzyli po sobie, ale w ostateczności mieli niższe szarże i służyli pod kapitanem od przeszło pół roku. Nauczyli się, żeby z nim nie zadzierać.

Wyszli z bunkra, najpierw przez jedno, potem przez drugie drzwi. Faktycznie, już nie padało. Jaden spojrzał w stronę magazynu.

– Idziemy po nowy? – podrzucił w rękę plakietkę z czipem. Cieszył się, że nie musiał w pośpiechu otwierać skrzyń w poszukiwaniu właściwego rozmiaru.

Tohru splunął pod nogi. Płwocina zburzyła kałużę przy wyjściu.

– Zgłodniałem, skoczę do kuchni.

– Regulamin... – zaczął Jaden.

– Słyszałeś starego. Regulamin ma dziś wolne.

Jaden z powątpiewaniem obserwował jak Tohru rusza w przeciwnym niż magazyn kierunku. Wiedział, że nie chodzi o jedzenie. Tohru był specjalistą w ukrywaniu zapasów. I w szmuglerce. Widocznie zamierzał doprowadzić do ostatniego interesu z Nozickim, póki obaj przebywają w jednej jednostce. Nie wiadomo, gdzie wylądują po jej opuszczeniu.

Tohru wyjrzał i wyciągnął szyję. Rozpogadzało się coraz bardziej. Na wschodzie za spalonym lasem i wzgórzem, pokrytym popiołem, wstawało wczesne słońce. Wściekła czerwień tego poranka nie napawała optymizmem. Jeśli zbliżała się burza popielna, droga do bazy głównej zajmie im znacznie więcej czasu. Być może utkną gdzieś w ciężarówce i będą

spać na otwartym terenie. Przeklął swoją służbę nie po raz pierwszy, od kiedy dowiedział się, że będzie stacjonował przez pół roku na ziemi niczyjej.

Pamiętał przyjazd do obecnie zajmowanej jednostki, jakby wydarzyło się to wczoraj. Zdewastowane przez katastrofy klimatyczne tereny ciągnęły się przez dawną Europę Środkowo-Wschodnią i łączyły wyschnięte morza, Bałtyckie z Czarnym. Jaden słyszał, że ziemie nad słoną Wielką Rzekę Śródziemnomorską nadal nadawały się do życia. Rozbite obozy zmieniły się w pola zbitych byle jak z dykt i płyt obskurnych chat. Rząd zrównał je z ziemią i zbudował porządne osiedla. Jaden chciałby trafić do tamtejszej jednostki, lecz nie liczył na to za bardzo.

– Mieszkają tu jacyś ludzie? – zapytał kapitana, kiedy po raz pierwszy ujrzał góry popiołu, szkielety drzew i odsłoniętą, popękaną ziemię, z których czeluści wydobywały się drażniące skórę i oczy gazy. Łączyły się z ciemnymi chmurami i spadały kwaśnym deszczem.

– Część nie przetrwała nagłego załamania się pogody. Część ewakuowano – usłyszał wtedy w odpowiedzi.

– A większość zaginęła – dodał Nozicki, najmłodszy z małego batalionu.

– Zginęła? – upewnił się Jaden.

Tohru zaśmiał się głośno.

– Miejska legenda. Oficjalnie nie potwierdzono niczego.

Nozicki pokręcił głową z przejęciem.

– Nie doliczyli się ciał.

– Jak – Tohru zatoczył ręką koło – w tym piekle można się doliczyć czegośkolwiek? Widzisz to? – Wskazał na kikuty drzew wystających z łachy ciemnego popiołu. – Las? Czy nie las? Tamto wzgórze mogło być kiedyś górą. Przez ostatnie dziesięć lat wszystko tu się pozmieniało nie do poznania. Zniknięcie ludzi nie jest niczym niezwykłym.

– Setek tysięcy ludzi – odparł Nozicki.

– Aha – uciął Tohru. Często podejmował się rozmowy, by po chwili milknąć, kwitując argumenty krótkimi tikami.

Jaden wspominał tę wymianę zdań, przedzierając się przez plac i zaściełające je zasy mokrego, ciężkiego popiołu. Spodnie na nogawkach zaczęły się odbarwiać. Przyśpieszył. Kiedy dotarł pod zadaszenie magazynu, zdziwił się, widząc otwarte na oścież drzwi. Do wnętrza prowadziły ślady naniesionego popiołu.

Obejrzał się, czując na sobie czyjeś spojrzenie, lecz nikogo nie zauważył. Tohru zniknął za załomem budynków po drugiej stronie placu. Bunkier garbił się cichy niczym

grobowiec na tle popielnego wzgórza i cienkiej, czerwonej linii wściekłej czerwieni wschodzącego słońca.

– Halo? – zawołał Jaden, wchodząc pod zadaszenie magazynu. Otrzeptał buty i nogawki. Nikt mu nie odpowiedział.

Budynek nie był duży. Tak jak większość w jednostce stworzonej dla celów wizerunkowych. Nie otaczały jej płoty i wieże. Kilkuosobowe bataliony nie musiały niczego bronić, bowiem nikomu o zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy, żeby rościć sobie jakiegokolwiek prawa do martwego pustkowiec.

Jaden przekroczył próg magazynu i zatrzymał się. Nie dostrzegł niczego w ciemności. Żeby włączyć światło, musiałby uruchomić generator na tyłach. Uznał, że szkoda zachodu. Nagle poczuł, jak coś dotknęło jego odsłoniętego karku. Wbiło się w skórę, czemu towarzyszył ostry, paraliżujący ból. Krzyknął. Odskoczył, lecz nikogo za nim nie było. Przyłożył rękę do karku. Wyczuwszy wilgoć, starł ją i wyciągnął na światło poranka. Wnętrze dłoni parowało i lśniło bielą. Jaden zaklął i spojrzał w górę. Z dziury w zadaszeniu kapła kwaśna deszczówka. Zaklął i postanowił odszukać kombinezon jak najprędzej.

Skrzynie stały w rzędach. Szedł wzdłuż nich i w ciemności ledwo odnalazł w pamięci właściwą alejkę na końcu magazynu. Znajdowały się tam te, które należały do jego oddziału. Wyciągnął z kieszeni plakietkę z czipem i przyłożył do wieka. Nie zadziałał. Spróbował jeszcze raz, z tym samym efektem. Podwadził wieko palcami i próbował unieść. Nawet nie drgnęło. Przypatrzył się skrzyni. Była cała. Za to czip na plakietce nosił ledwo widoczną rysę. Jaden złapał się za głowę, czując wzbierającą w nim frustrację. Kopnął w wieko z całych sił. W końcu stanął z założonymi rękoma. Nie wiedział co dalej. Ze zwieszoną głową ruszył ku wyjściu.

Jego spojrzenie przykuła niedomknięta skrzynia. Przyjrzał się nazwisku: Nozicki. Widocznie podszedł po coś na patrolu i zapomniał ją zamknąć. Jaden zawahał się. On i Nozicki praktycznie mieli te same wymiary. Nie będzie przecież zły, jeśli pożyczy sobie jego zapasowy kombinezon. I tak wyjeżdżają z tej dziury za kilka godzin. Pokiwał głową i ominął skrzynię. Może najpierw go zapyta. Wtedy Jaden usłyszał padający deszcz. Krople bębniły o dach. W otwartych drzwiach widział, że ulewa przybiera na sile. Zaczęły się tworzyć kałuże.

Westchnął ciężko i otworzył skrzynię Nozickiego. Wyciągnął kombinezon. Pośpiesznie przymierzył go i okazał się za mały. Uciskał w kroczu, pod pachami. Kiedy wsunął plakietkę do otworu na piersi, przypomniał sobie, że przecież jest uszkodzona.

– Idiota – warknął zły na siebie.

Zajrzał do wnętrza skrzyni, nie wiedząc, czego właściwie szuka. Może dodatkowego płaszcza lub jakiegoś żelu osłonowego. Płonna nadzieja, zużyli wszystkie w pierwszych miesiącach na placówce.

Podźwignął ciężki wór i zamarł. Na dnie skrzyni leżał Nozicki.

Jaden wypuścił wór. Oparł dłonie o krawędź skrzyni. Zrobiło mu się niedobrze.

Ciało towarzysza pokrywały bąble, jakby wykąpał się we wrzącej wodzie. Skóra, włosy i oczy były białe i jakby kruche. Z pęknięć na twarzy sączył się żółty płyn. Zęby wystawały z zamarłych do krzyku ust.

Jaden rzucił się do wyjścia. Już miał wybiec na zewnątrz, nie bacząc na kwaśny deszcz. Chciał poszukać Tohru, powiadomić kapitana, że ktoś zaatakował jednostkę. W progu wpadł na Tohru. Mężczyzna trzymał się za pierś. Wydawał się przerażony. Wskazywał na coś za sobą. Jaden spojrział we wskazanym kierunku, lecz niczego nie ujrzał. Jedyne deszcz zacinał coraz mocniej i ledwo widział bunkier po drugiej stronie placu. Nawet gdyby krzyczał z całych sił, kapitan i tak by go nie usłyszał.

– Wychz-ziur. Gące! Mar-warze, lepe-czy. Edzą-bko. Gąco! – Tohru bełkotał, zdzierając sobie twarz paznokciami. Język mu napuchł, wydał się spomiędzy warg. Tohru upadł i kiedy Jaden pochylił się, żeby pomóc mu wstać, zauważył, że kompan jest martwy. Odskoczył od ciała, ponieważ nabierało sinej, niezdrowej barwy. Pęczniało, skórę pokrywały bąble, które pękały z sykiem, uwalniając żółty płyn i mdlący gaz.

Jaden rzucił się do ucieczki. Biegł, a deszcz spływał po jego twarzy. Palił szeroko otwarte oczy. Zdawało się, że pomylił kierunki, lecz ujrzał garb bunkra. Walił pięścią. Drzwi były zamknięte. Wołał, ale nikt nie odpowiadał.

Kątem oka zauważył ruch. Otaczały go sylwetki. Setki bladych, spękanych twarzy pokrytych bąblami. Ślepe, blade oczy łzawiły żółtym płynem, który kapał na popiół i kałuże. Z szeregu widm wyszedł kapitan. Ściągnął maskę. Wyglądał gorzej niż tłum za nim. Jego źrenice miały niezdrową, pożółkłą barwę. Pochylił się, szeptał:

– Wychodzą z dziur. Gorące. Martwe twarze, ślepe oczy. Jedzą szybko. Gorąco.

Jaden krzyczał, kiedy go pożerali.

# Z ŻALU

Martyna Wróbel

Las wyznaczał granice działki. Do najbliższego sąsiada było około sześciu kilometrów w linii prostej. Wszędzie dookoła tylko drzewa i zbawienna cisza.

To było miejsce, w którym można by było żyć szczęśliwie. Gdyby nie wypadek, który zdarzył się tu minionego lata.

Pisały o nim lokalne gazety. Wieść rozniosła się po kilku gminach. Ludzie mówili o tym przez cały sierpień. Rzadko kiedy w tej spokojnej okolicy zdarzały się tak tragiczne wypadki.

Matka i syn. Utonęli w zdradziecko schowanym między drzewami stawie, zarośniętym i zapomnianym, prawdopodobnie nawet przez Boga. Zanim znalazł ich Borys, było już za późno. Odeszli, trzymając się za ręce.

\*\*\*

Od tragicznej śmierci żony i syna minął ponad miesiąc. Wrzesień wkroczył w tę zachwycającą fazę, którą wszyscy nazywają „złotą, polską jesienią”. Ciepłe promienie słoneczne wciąż jeszcze zachęcały do przebywania na zewnątrz. Mimo tego Borys nie zamierzał wychodzić. Od wypadku nie opuścił domu. Nie miał po co. Nie potrafił. Jakiś tydzień temu przeszła mu przez głowę myśl, żeby wrócić do pracy, ale zrozumiał, że nie czuje się na siłach. Spędzał dni przy stole w kuchni, na którym rozłożył zdjęcia swojej rodziny. Na wszystkich byli uśmiechnięci, zadowoleni, wydawało się, że życie stoi przed nimi otworem. A teraz już ich nie było. Małe stopy Dawida nie tłukły już zawzięcie w panele, kiedy ze śmiechem przebiegał po całym salonie, uciekając, gdy próbowano ubrać go przed wyjściem do przedszkola. Kubek Doroty stał nietknięty od tamtego poranka, zamknięty w szafce wraz z innymi kubkami i filiżankami. Borys nie odważył się już nigdy podać komuś w nim kawy. Zresztą kawa straciła dla niego smak. Tak samo jak mdliło go na myśl, że ktokolwiek może przyjść do niego w odwiedziny i oczekiwać poczęstunku.

Na początku nie mógł się opędzić od ludzi. Na jego progu kolejno stawali policjanci wraz z prokuratorem. Później reporterzy lokalnych gazet. Na końcu zatroskani sąsiedzi. Każdy twierdził, że chce dobrze, każdy coś przyniósł. Sałatka, ciasto, drobne zakupy. Borysa nie interesowało czy powodowała nimi troska czy niezdrowa ciekawość, (objawiająca się zawsze wśród sąsiadów w obliczu śmierci). Nic nie było w stanie zmienić tego, że zwyczajnie nie chciał ich oglądać. Poza policjantami nie wpuścił nikogo.

Nie rozwiesił klepsydr, nie powiadomił nikogo o terminie pogrzebu,. Chciał być sam. Brak kondolencji, przytuleń, poklepywania po plecach, życzeń, żeby się trzymał, miał pozwolić mu to wszystko znieść. A jednak nie udało się niczego utrzymać w tajemnicy. Na pogrzebie byli wszyscy z dwóch lub trzech pobliskich wsi. Każdy pewnie miał nadzieję na otwarte trumny. Nie doczekali się.

Niektórzy ocierali łzy, widząc białą trumienkę Dawida. Szeptali między sobą, że to było dopiero dziecko, że Dorota miała jeszcze całe życie przed sobą, że był to taki bezsensowny, niepotrzebny wypadek.

Tydzień po pogrzebie przestali pukać do drzwi.

\*\*\*

Tamtego wrześniowego wieczora Borys siedział jak zwykle przy stole w kuchni, wpatrując się w zdjęcia żony i syna, kiedy nagle do głowy przyszła mu myśl.

Zasypać! Nie można tak po prostu siedzieć, wiedząc, że w lesie, z którym graniczyła jego działka, jest staw, gdzie utonęli Dorota i Dawid. Zasy pie go. Uchroni innych niewinnych spacerowiczów przed okrutną śmiercią w mule i śmierdzącej brei, która kiedyś była wodą.

Pokrzepiło go to postanowienie. Na tyle, że poczuł się dobrze. Tak jak nie czuł się od momentu, kiedy ich znalazł. Myśl, że może coś zrobić, przynosiła dziwną ulgę. Powitał to uczucie niemal z radością i po raz pierwszy od dawna zasnął spokojnie.

\*\*\*

Pierwsze ślady błota zauważył tuż po tym, kiedy wrócił z lasu następnego dnia. Był wykończony pracą, ale wytrwale zwoził ziemię, którą chciał wykorzystać do zasypania stawu.

Akurat zamykał lodówkę, z której wyciągnął karton mleka, kiedy brązowa maź na progu rzuciła mu się w oczy. Oderwał kawałek papierowego ręcznika i zebrał ją ze

zdegustowaną miną. Pomyślał, że pewnie jeszcze wiele takich plam będzie musiał zetrzeć, zanim znieawidzone miejsce zostanie zrównane z ziemią.

Napełnił szklankę mlekiem i dostrzegł jeszcze kilka innych plam prowadzących z przedpokoju do kuchni. Ścieżka z drobnych plamek zaczynała się przy drzwiach, a kończyła tuż obok lodówki. Posprzątał je szybko, czując jak przepelnia go nienawiść. Powtarzał sobie jednak, że już niedługo i cały staw zostanie całkowicie zapomniany.

Incydent powtarzał się jeszcze przez kilka dni. Za każdym razem ślady błota znaczyły trasę od drzwi do coraz to nowych pomieszczeń w domu. Po tygodniu zatrzymały się nawet na półpiętrze, choć Borys nie pamiętał, żeby tam wchodził po powrocie z lasu.

Następnego ranka znalazł ślad obok dywanika przy łóżku w sypialni. Zaczął się dokładniej szorować po każdym dniu pracy, ale nie przynosiło to rezultatów. Błoto pojawiało się, za nic mając jego próby doprowadzenia do porządku siebie i podłogi.

Tego wieczora, kiedy staw coraz bardziej znikał pod zwałami zwożonej ziemi, siedział w salonie i po raz pierwszy od dawna odważył się włączyć telewizor. Programy informacyjne roiły się od złych wiadomości. Pożary, wypadki i strzelaniny. W jakiś makabryczny sposób pomagało mu to jednak zapomnieć o własnym pustym życiu i cierpieniu.

Od wpatrywania się w ekran oderwał go hałas na piętrze. Podniósł gwałtownie głowę, jakby wzrokiem mógł przebić sufit. Hałas nie powtórzył się, ale Borys nie trzymał żadnego zwierzęcia, na które mógł zwalić winę. Serce zaczęło bić mu coraz szybciej. Brzmiało to tak, jakby ktoś potknął się o coś w pokoju Dawida.

Z tętnem pulsującym w uszach ze zdenerwowania wszedł na schody i kilkoma zdecydowanymi krokami pokonał odległość do drzwi pokoju syna. Otworzył je z impetem, ale pomieszczenie było puste.

Maskotki powitały go pustymi spojrzeniami. Nikt nie ruszał ich od dłuższego czasu, kurz powoli zbierał się na ich pyszczkach. W pokoju panował porządek. Rozrzucone kiedyś klocki leżały w pudełku. Samochodziki stały na półce obok dziecięcych baśni. Nikt tu nie był od dawna. Zdradzał to także zaduch niewietrzonego pomieszczenia.

Borys uznał, że się przesłyszał lub figla splątał mu ptak uderzający w szybę. Już chciał zamknąć drzwi, kiedy obok łóżka syna dostrzegł grudkę mokrej ziemi. Serce znowu wykonało parę fikołków. Podeszedł bliżej, ale i tak miał już pewność. Ściągnął koszulkę i wytarł nią błoto. Był pewien, że nie wchodził tutaj od śmierci Dawida (posprzątać pokój musiała któraś z zatroskanych sąsiadek).

Zwinął koszulkę w niechlujny kłębek i szybko opuścił pomieszczenie, zamykając za sobą drzwi. Szczęk zamka nie sprawił, że poczuł się lepiej. Serce dalej waliło jak młot. Zszedł



na dół i usiadł na kanapie. Wbił wzrok w telewizor, ale podświadomie wciąż czekał na jakiś odgłos. Tego wieczora nic się już jednak nie wydarzyło.

\*\*\*

Borys pracował niestrudzenie przez dwa następne dni, zapominając o incydencie z błotem w pokoju zmarłego syna. Plamy pojawiały się nadal, ale zazwyczaj w miejscach, w których mógł nanieść je na butach, więc nie wzbudzały w nim żadnych podejrzeń.

Tydzień po odkryciu plamy w pokoju Dawida obudził się w środku nocy, zlany potem, pewien, że coś usłyszał.

Rozejrzał się zdezorientowany po sypialni. Zarys mebli wyglądał w ciemności dość złowrogo, ale był pewien, że w pomieszczeniu jest sam. Światło księżyca wdzierало się przez niestaranie zaciągnięte zasłony. Falowały lekko. Październikowe noce były już zimne, ale Borys po całym dniu pracy był tak zmęczony, że nie przeszkadzało mu otwarte okno. Zasypiał, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki.

Z początku żaden podejrzany dźwięk się nie powtórzył. Borys zamknął oczy, gotowy zasnąć. I wtedy znowu to usłyszał. Odgłos bosych stóp uderzających w szalonym biegu po panelach na korytarzu za drzwiami sypialni.

W pierwszym odruchu pomyślał o złodziejach, ale nie sądził, że mogliby być aż tak nieostrożni. Brzmiało to raczej jak głupia zabawa dzieciaków, które włamały się do domu. Zaświecił lampkę nocną i wyskoczył z łóżka. Nie zabrał ze sobą żadnej prowizorycznej broni. Po prostu otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz.

Był pusty.

Jednak Borys nie mógł po prostu ze spokojnym sumieniem zrzucić wszystkiego na zwidy czy urojenia. Podszedł do włącznika światła i pstryknął. Lampa ukazała mu cały korytarz, a to co zobaczył, sprawiło, że poczuł w ustach żółć ze zdenerwowania.

Na deskach podłogi odbite były ślady błota w rozmiarze dziecięcych stóp.

\*\*\*

Borys przesiedział na korytarzu całą noc, wpatrzony w ślady, które odkrył. Noc powoli ustępowała przed dniem, rzucając na błoto słoneczne plamy. Mężczyzna usilnie próbował jakoś logicznie wytłumaczyć ich pojawienie się, ale nie znalazł żadnych racjonalnych argumentów.

Kiedy zegar wybił ósmą, dźwignął się spod ściany i pobiegł do lasu, żeby z jeszcze większym zapałem zabrać się do pracy.

\*\*\*

Następnej nocy zwinął się w kłębek na kanapie i przykrył kocem. Jego serce trzepotało jak niespokojny ptak, a umysł podpowiadał, że być może Dawid wcale nie zginął. Może ktoś się pomylił w identyfikacji zwłok. Może nawet on sam. Był tak zaślepiiony rozpaczą, że może wziął inne dziecko za swojego syna, a teraz jego mały rozrabiaka bawi się z nim w kotka i myszkę.

Chciał spać na kanapie, żeby w razie czego wcześniej usłyszeć i pochwycić w biegu pędzącego malca. To w końcu musiał być on. Rozmiar stóp się zgadzał. Borys nie zdobył się na to, żeby posprzątać ślady na korytarzu. Były dla niego zbyt cenne.

Początkowo rozdrżany umysł nie chciał się wyciszyć i pozwolić mężczyźnie na sen. W końcu jednak mu się udało. Zapadł w drzemkę, która trwała może godzinę, zanim zerwał się na nogi, słysząc przeraźliwy kobiecy krzyk.

Głos urwał się raptownie, ale brzmiał mu w uszach jeszcze przez dłuższy czas. W domu panowała zupełna ciemność. Chmury zasnuły księżyc i nawet najmniejsze światło nie przedzierało się przez okna. Mrok był gęsty, a Borys poczuł, że zaczyna się pocić. Jego klatka piersiowa wznosiła się i opadała w rytmie przyspieszonego oddechu, serce nie chciało się uspokoić.

Kto krzyczał? Co się dzieje? Czy to był tylko sen? Myśli galopowały jak szalone, ale poza tym dom zdawał się być pogrążony w spokoju, nieświadomy uczuć, które kłębią się w umyśle mężczyzny.

Już miał się kłaść z powrotem, kiedy do jego uszu doleciał cichy płacz. Ale i to szybko się urwało.

Zaraz potem trzasnęły drzwi na piętrze, jakby panował przeciąg. Tupot małych stóp przetoczył się po korytarzu ponad jego głową. Dziecięcy śmiech urwało kolejne trzaśnięcie.

Borys przerażony już nie na żarty, włączył światło, ale nie zobaczył w pobliżu nikogo poza własnym odbiciem w dużym, ciemnym ekranie telewizora.

Zegar wybił trzecią w nocy. Mężczyzna aż podskoczył na ten dźwięk. Później na chwilę zapadła zupełna, niemal grobowa cisza.

Kolejny szloch dobiegł z piętra, wrywając go z paraliżu. Borys nie zastanawiał się długo. Ruszył w kierunku źródła dźwięku, wdeptując w sam środek plamy z błota znajdującej się tuż pod schodami. Podobne ślady ciągnęły się ku górze. Miały kształt stóp, ale były większe niż dziecięce. Mogły należeć do dorosłej kobiety.

Borys szedł po schodach, wlepiając w nie wzrok. Wokół znowu nastała cisza. Kiedy wszedł na piętro, okazało się, że ślady ciągną się wzdłuż korytarza, ale było ich tu dużo więcej. Większe i mniejsze. Pomieszane ze sobą w jakimś szalonym tańcu, urywały się tuż przed otwartymi drzwiami sypialni.

Mężczyzna podszedł więc i zamarł, kiedy przekroczył próg.

Na łóżku siedziała kobieta. Tuliła do siebie brudne, około pięcioletnie dziecko. Stopami dotykała dywanika, który przypominał teraz zabrudzoną szmatę. Z włosów ciekły jej strugi brązowej mazi. Była wychudzona, a skóra przybrała zielonkawy odcień, jakby spędziła pod wodą dużo czasu. Odwróciła twarz w stronę Borysa, który poznał w niej rysy swojej żony. Oczy miała jednak zapadnięte, skórę pomarszczoną. Z kącików ust sączyła się brudna woda. Jej tęczyki straciły kolor, były trupio białe.

Dziecko, które się w nią wtulało, było niemiłosiernie pokryte błotem. Jego grudki spadały z plaśnięciem na drewnianą podłogę. Był to jedyny dźwięk, który dało się słyszeć, kiedy oboje na siebie patrzyli. Borys i istota przypominająca jego żonę. Chwila zdawała się być wiecznością.

Dziecko poruszyło się, a wtedy mężczyzna znowu usłyszał kobiecy szloch, mimo iż usta topielicy nie poruszyły się. Woda sączyła się z nich nieprzerwanie, mokre włosy ociekały błotem. Przechodził go dreszcz i był pewien, że nagle w domu zrobiło się przeraźliwie zimno.

— Borys? – rozległo się gdzieś za jego plecami. Natychmiast się odwrócił, poznając ukochany głos Doroty. Za plecami nie miał jednak nikogo, a kiedy wrócił spojrzeniem do sypialni, topielica stała tuż przed nim. Śmierdziała brudną wodą i szlamem.

Otworzyła usta i wrzasnęła.

Zgasły wszystkie światła, które zapalił podczas swojej wędrówki. W zapadającej ciemności zdołał tylko usłyszeć dziecięcy śmiech. Później nie było już nic.

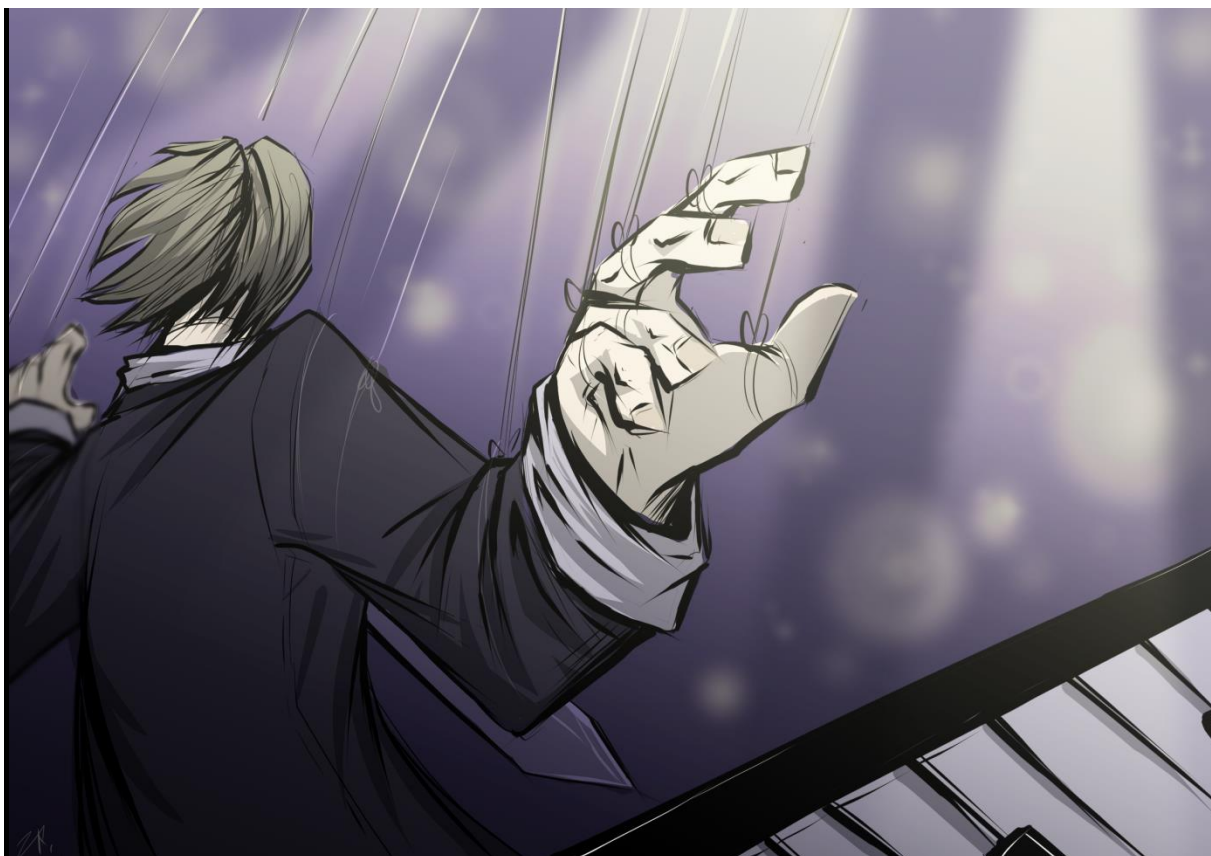
\*\*\*

Zwłoki Borysa odnaleziono niecałe trzy dni później, kiedy troskliwa sąsiadka (być może ta sama, która posprzątała wcześniej pokój Dawida) przyniosła mu świeżo upieczony jabłecznik.

Znalazła go klęczącego nad brzegiem stawu, z twarzą w wodzie. Wszędzie dookoła panował niesamowity bałagan, jakby ktoś najpierw próbował zasypać staw, a później w panice wszystko odkopywał. Niedaleko leżały przewrócone taczki.

Prokurator podał do publicznej wiadomości, że było to samobójstwo. Popelnione najprawdopodobniej z żalu po stracie rodziny.

Nieruchomość, której granice wyznaczał las, a do najbliższego sąsiada było około sześciu kilometrów, szybko została wystawiona na sprzedaż.



# ZAKOCHANA MARIONETKA

Justyna Bendyk

– Nie są zawiązane zbyt ciasno?

Mój właściciel poprawia z troską sznurki przeciągnięte przez ręce, jak i te przez nogi. Zawsze jest wobec mnie delikatny. Gładzi moje stopy i dłonie, niwelując dyskomfort. Sznury są potężne, takie, by podtrzymać człowieka, ale i cyrk, w którym występujemy, jest spektakularny, działamy na scenie pokaźnej wielkości. Stąd kontrola nade mną jest znacząca. Jestem żywą marionetką i podczas występów robię dokładnie to, co każe mi mój pan, *hendler*. Taką mam pracę. Poza tym mogę swobodnie chodzić po terenie cyrku, za pozwoleniem wychodzić na zewnątrz. Ludzie tłumnie przychodzą, by zobaczyć panowanie jednego

człowieka nad drugim, tak jakby nie było to ich codziennością. Ja sam, gdy podają mi lek, który czyni mnie bezwładnym na te kilka chwil występu, czuję się, jakbym fruwał, mknął do samego nieba.

Odpowiadam:

– Jak najbardziej.

– Ucieszysz się. Dzisiaj gramy dla pań.

Zarumieniłem się.

– Kim będę?

– Dżentelmenem, który potrafi grać na pianinie. Dlatego dziś spętamy sznurkami także palce u dłoni.

Wyjaśnił, a ja przytaknąłem. Lubilem grać dla pań, bo były zazwyczaj delikatniejsze w obyciu. Panowie potrafili bezczelnie mnie wyśmiać lub czymś we mnie rzucić, a paniom nigdy się to nie zdarzało. Co nie znaczy jednak, że były miłe. Po prostu karcily mnie takimi sposobami, na jakie pozwalała im kultura – cierpkim grymasem, kręceniem głową z dezaprobatą. Jeśli mam być szczerzy, ci, którzy mieli największe zastrzeżenia co do występu, siadali najbliżej, tak, bym te właśnie grymasy mógł najlepiej odczytać. Nie chodziło w tym o mnie, jednak o jakąś nęcącą ideę, że jeden człowiek może całkowicie opanować drugiego. Ot, przyjemność.

Zostałem ubrany w stylowy garnitur, którego idealnie wymierzone rękawy i nogawki nie zasłaniały najważniejszego – pętających mnie sznurów. Musiałem być widoczny dla publiki. Byłem gotowy, tak fizycznie, jak i psychicznie. Czasami kilka minut przed występem wyobrażałem sobie moją publikę, zakładając, że w końcu zjawi się ktoś życzliwy, tak jednak się nie działo. W końcu zjawiała się ona.

Podczas tego właśnie występu, pośród przeklinającej mnie wzrokiem kobiecej publiki, krzywiącej się i robiącej sobie ze mnie żarty, stała dziewczyna, której twarz nie odzwierciedlała zupełnie nic. Zaciekawilo mnie to tak, że podczas całego występu skupiałem swoją uwagę tylko na niej. Było w tej kobiecie coś, czego nie widziałem nigdy wcześniej. Dopiero po występie dowiedziałem się, że za tym zimnym spojrzeniem kryła się miłość do mnie, a dziewczyna była tym faktem dogłębnie przerażona, stąd jej twarz przypominała maskę. Kolejne moje występy były przeznaczone tylko dla niej, , choć postronny obserwator nie mógł tego zauważyć. Czuję się komfortowo, bo nieznajoma nie mogła odczytać moich emocji, a z kolei ja, dzięki swoim sztuczkom, mogłem poznawać jej historię.

\*\*\*

Ukloniłem się nisko, sięgając jej stóp, a ona ni stąd, ni zowąd zaczęła mówić.– Wyrwałam się z domu przed ukończeniem osiemnastego roku życia, bo mój dom był pełen przemocy. Matka sterowała ojcem, a i on miał ją w jakimś sensie w garści. Stosował wobec niej przemoc finansową i fizyczną, ona fundowała mu psychiczną. Wszystko, co ojciec kiedykolwiek zrobił, było złe, wymagało poprawy. Ona tych poprawek wymagała, głośno krzycząc. Ojciec potulnie wykonywał jej „prośby”. To, jak trzymał ją w garści, było prostsze, nie wymagało takich nakładów krzyku i przyspieszonego bicia serca. Ten, który mnie prowadził, przyłożył moje dłonie do ust, wyrażając nieme przerażenie.

– Cała ta przemoc była wymierzona we mnie – dodała.

Tak minął występ pierwszy.

\*\*\*

Kiedy mogłem swobodnie chodzić po cyrku, wypatrywałem jej, czując, że jest osobą na gwałt potrzebującą rozrywki i że może gdzieś tu być. Radośni ludzie nie są konsumentami kultury. Czuję się głęboko poruszony jej historią i pragnąłem usłyszeć ciąg dalszy. Zacząłem także snuć pewne wyobrażenie, do którego w głębi serca chciałem się przyznać. Wyobrażałem ją sobie na podobę mnie, ze sznurami oplecionymi wokół jej chudych rąk, tak przez ojca, jak i matkę. To, że sznury te były niewidzialne, sprawiało, że jej sytuacja zdawała mi się nawet gorsza od mojej. W takim nastroju doczekałem występu drugiego.

Tańczyłem, unoszony na sznurkach, a ona, ponownie, mówiła.

– Moje szczęście zawsze przychodziło nie w porę i nie byłam na nie gotowa. Pierwsza miłość pojawiła się pewnego lata. Miał na imię Mikołaj. Przyzwyczajona do tego, że robiłam wszystko, czego chcą ode mnie rodzice, poddawałam się jego życzeniom bez wahania. Chłopak ten zasypywał mnie pocałunkami, których wcale nie chciałam, a ja je odwzajemniałam, chociaż wcale nie miałam ochoty. Robiłam wszystko, co kazał, bo tak zostałam przyuczona. Miałam zwyczaj wyjeżdżać z rodzicami zawsze w to samo miejsce...

Tańczyłem przed nią, delikatnie poruszany przez mojego hendlera.

– Na łonie przyrody, co rok takim samym, przynajmniej pozornie, odkrywałam, czym są marionetki. W istocie – tu nachyliła się do mnie bliżej, tak, by mój hendler nie usłyszał tego, co mówi – wszyscy nimi jesteśmy. A ty, mój przyjacielu, masz farta, że ktoś wyzwala ciebie z okowów bycia tobą samym. Może i nie jesteś do końca wolny, ale nie powinieś

tęsknić za normalnym życiem, pełnym marionetek, z tym, że nasze sznury są niewidoczne. Ot, cały sekret.

Gdybym mógł, rozdziawiłbym buzię w niemym zdziwieniu, jednak, jakby w niepamięci tych słów, nadal tańczyłem, tym razem do nieco żywszej muzyki, która nijak nie potrafiła zrelaksować mej rozmówczynie. Stała przede mną ze skrzyżowanymi rękoma, pustym spojrzeniem i żalem wobec całego wszechświata. Mój hendler chyba zobaczył jej niezadowolenie, bo teraz poruszał mną jeszcze żywiej, tak, że na jej twarz w końcu wpełzł uśmiech. Miałem wobec niej wiele pytań, wiedziałem jednak, że nie bez powodu opowiada mi ona swoją historię. Gdzieś w tych nieskładnych wynurzeniach czaiła się pointa, a mi pozostało czekać na kolejny spektakl. Bałem się przyznać przed sobą samym, jak bardzo ciekawi mnie ta dziewczyna. Jednocześnie to właśnie uczucie sprawiało, że sznury wokół moich dłoni i stóp nie były tak opięte, a uścisk nieco zelżał. Nie miałem jednak czasu zajmować się takimi drobiazgami. Czekałem na kolejną część jej zwierzeń, chłonąc łapczywie jej słowa.

\*\*\*

Przechadzając się po terenie cyrku, obserwowałem ją z daleka jeszcze przed występami. Dziewczyna była co najmniej dziwna. Podczas szalonego występu nie mogłem przyjrzeć się temu, jak wygląda, co nadrabiałem tuż po lub przed czasem mojego show, kiedy kobieta przesiadywała w czarnej limuzynie, obserwując nas. Miała na sobie podarty sweter, lateksowe spodnie i długi, czarny, skórzany płaszcz. Jej włosy, splecione w dredy, sięgały pasa, a buty, sznurowane, kolan.

– Kamilek się zakochał! – zza moich pleców wypełzła Aria, nasza akrobatka, robiąc obok mnie kilka przewrotów. – I to w swojej widzce, urocze – zaśmiała się szyderczo, nadal ćwicząc coś wokół mnie. – Uważaj na nią – syknęła mi prosto do ucha, skacząc rytmicznie na bok. Podobnie mówił mi każdy, z kim się spotkałem, a kto w mig zrozumiał, że zaczyna mnie ogarniać niefortunny dla marionetki stan. Stan zakochania. Nie powiem, że ją kochałem, jeszcze nie, ale pewien byłem jednego. Te wszystkie „uważaj”, „strzeż się”, „nie pasujesz do niej”, były mi mówione nie po to, by faktycznie mnie przestrzec przed czymś złym, ile uchronić przed miłością, która w mojej ocenie jest dla społeczeństwa zabójcza, bo pozwala ci być tym, kim chcesz. Musiałem jeszcze dowiedzieć się, czy i ona tak myśli. Kobieta opowiadała jednak dalej swoją historię, a wraz z każdym jej słowem moje serce płonęło.



\*\*\*

– Na uczelnię poszłam tam, gdzie chcieli moi rodzice. Uważali, że to, czego naprawdę pragnęłam, czyli studiowanie religioznawstwa, sprawia, że będę nie dość uziemiona i ten świat po prostu się ze mną rozumie. Uczylałam się na prawniczkę, marnując pięć lat mojego życia. W międzyczasie marnowałam czas także na tych partnerów, którzy wydawali się atrakcyjni moim rodzicom...

O nie, o matko, o boże, nie... Mój hendler wyciąga do niej moją rękę, mówiąc: „Dla cennego klienta”. Jej dłoń w skórzanej rękawiczce łąduje w mojej dłoni, a ja zaczynam z nią tańczyć, czując, jak moje więzy robią się coraz lżejsze i lżejsze. Przez tych kilka minut poczułem się wolny. Ona porusza się ciężko, niepewnie. Mówi znów coś, czego hendler nie może pojąć, a co mogę zrozumieć tylko ja.

\*\*\*

Czekałem na ten moment bardzo długo. Na kolejnym przedstawieniu zapytała mnie o coś. Pomiędzy nami przebiegła prosta interakcja: ona coś mówiła, a mój hendler reagował na to, dłońmi przedstawiając zdziwienie, smutek lub podziw. Wiele to dla mnie znaczyło. Podeszła blisko, bardzo blisko dzielącego nas ogrodzenia, a ja mógłbym przysiąc, że , gdzieś tam w górze, gdzie powinien być Bóg, znajdowały się sznury, które i ją pętały. „Sądziłam, że zrozumiesz.”.

– Rozumiesz?

Co miała na myśli?

Wszystko wkrótce miało się wyjaśnić.

\*\*\*

Tym razem podeszła niezwykle blisko, przeskakując ogrodzenie, które nas dzieliło. Hendler nie oponował, była przecież naszą najlepszą klientką. Cały czas miałem wrażenie, że tuż nad nią znajduje się taki sam mechanizm do sterowania drugim człowiekiem, jak w moim przypadku. Nigdy nie miałem sposobności dostrzec tego na widowni, ale przecież nikt też nie odważył się podejść tak blisko mnie.

Dotknęła mojego policzka dłonią w skórzanej rękawiczce, a następnie podała mi ją, delikatnie ze mną tańcząc.

– Co, jeżeli nasze ruchy podlegają z góry ustalonym regułom, jak w tańcu i pewnych kwestiach nie przeskoczysz?

*Wiem co chcesz powiedzieć.*

Wiedziałem. Po jej rumianych policzkach, czerwonych wargach, przyspieszonym oddechu.

– Nie mieliśmy prawa się spotkać.

Hendler nadstawiał ucha, ale ona mruczała cicho, wymachując teraz dłońmi tak, jak gdyby nie były jej własnymi, jakby naśladowała mnie samego.

– Jesteśmy zdani na łaskę bogów, człowieka, wszystko mi jedno – wrzasnęła, a hendler zaczął wymierzać mną w jej stronę dziki aplauz.

Ona, nie zważając na nic, znów ujęła moje dłonie, zdejmując tym razem rękawiczki. Mógłbym przysiąc, że przez środek jej rąk przechodziły takie same sznurki, jak moje. Była przy mnie i wraz ze mną odkrywała mroczny sekret wszechświata, który sprawiał, że poczułem się o wiele lepiej niż dotychczas. Nie byłem jedynym, którego los był związany i sterowany. Tańczyliśmy, by potem o sobie zapomnieć. Bóg przecież nie mógł dopuścić się wobec nas takiej łaski. Nie wierzyłem, że dziewczyna wróci, a jednak, po ciągnących się niemilośnie dwóch tygodniach, pojawiła się znów.

\*\*\*

Wyglądała inaczej. Przefarbowała włosy na jasny blond, nałożyła na siebie sukienkę w kwiaty i szpilki, ponownie przeskakując ogrodzenie, ponownie nie budząc obaw hendlera.

– Zastanawiałam się, czy gdy będę tak wyglądać, nadal będziesz na mnie patrzył w ten sposób.

W jaki? Mogę przysiąc, że moje spojrzenie było jedynym, nad czym mój opiekun nie miał pełnej kontroli, ale czyżby naprawdę reprezentowało wolność? Czy Bóg przewrotnie nie zdecydował, że oto ona spojrzy czulej w moim kierunku, niż patrzyła na innych dżentelmenów, którzy z pewnością starali się o jej rękę.

Twój wygląd nie ma znaczenia – chciałem powiedzieć, hendler jednak sprawił, że ukloniłem się nisko, a potem powiedział tubalnym głosem:

– Tak, może pani poznać naszego dżentelmena, tylko jeśli zostanie pani w cyrku, w tej samej, jak on, roli.

Nie mogła uciec? Nie chciała? Trudno powiedzieć. Jednak niedługo po tym mieliśmy szansę porozmawiać sam na sam o rzeczach, które najpewniej budzą śmiech bogów.

\*\*\*

– Czekałam na rozmowę z tobą.

Uśmiechnąłem się, sam, z własnej woli.

– Kiedy tu jesteś, czuję, że to, co mnie zazwyczaj pęta, nie ma nade mną władzy. Czy także sądzisz, że miłość jest remedium na boskie *theatrum mundi*?

Nie wiedziałem, co powiedziała, podświadomie jednak czułem to doskonale.

– Przyznam jednak, że przez to jesteśmy niejako na siebie skazani, czy to nie paradoks? – zapytałem, chłonąc jej obecność.

Wzruszyła ramionami. Była wcielonym buntem, nie wierzyłem, że może mieć w życiu jakiegokolwiek problemy z wolnością.

– Paradoksem jest... – zaczęła niepewnie – że aby uwolnić się w tym świecie, trzeba się z kimś bezwzględnie związać.

Ponownie nie wiedziałem, co mówi, pod skórą jednak doskonale to czułem. Czułem, że mówiła prawdę.

To była jedyna rozmowa, jaką dane nam było odbyć.

Potem ona, ze swojej nieprzymuszonej woli (sic!), zaczęła zabawiać dżentelmenów, ja zaś, za sprawą mojego hendlera, skoncentrowałem się na paniach. W mojej pracy jednak pojawiła się nowa jakość. Za każdym razem, kiedy poczułem, że pętające mnie więzy są zbyt ciasne, przypominałem sobie ją – jej temperament i buntowniczy wygląd.

To dawało mi ulgę.

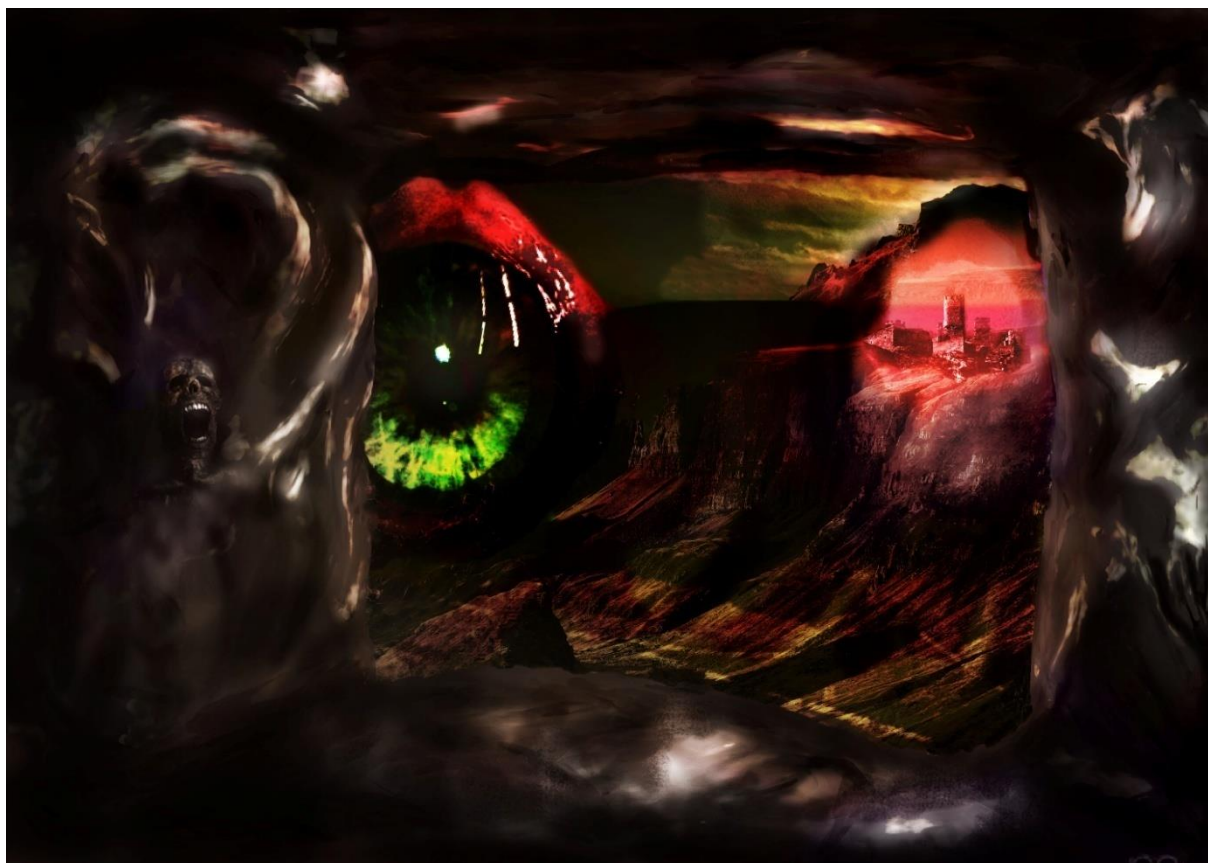
Powtarzałem:

*Paradoksem jest, że aby uwolnić się w tym świecie, trzeba się z kimś bezwzględnie związać.*

Być może.

W tym momencie jednak jesteśmy tylko

*zakochanymi marionetkami.*



# ZAMEK WSKRZESZENIA

Krzysztof Marciński

1

Dzwon!

Dzwon!

Głuchy, monotony dźwięk kolejny raz niósł się w jego głowie. To już. Wkrótce usłyszy Głos i podobnie jak towarzysze niedoli wyruszy ku Zamkowi Wskrzeszenia. Gruby Bressard, Mały Jim, Kulawy Yossu... Każdy z nich podążył za wezwaniem i żaden nigdy nie wrócił na stare śmieci. Może przypadli. A może naprawdę gdzieś w przeklętej twierdzy-widmo kryło się światło nowego życia, o którym tyle opowiadali?

Dzwon!

Dzwon!

Do Zamku Wskrzeszenia nie prowadziła żadna mapa. Położenie twierdzy można było ujrzyć jedynie we śnie, a droga... Drogę wskazywał Głos. Marvin zadrżał. Do tej pory wstrząsały nim dreszcze, ilekroć przypominał sobie każdego z kompanów w dniu wezwania. Mamroczący, nieobecni, parli jak opętani ze spojrzzeniami pełnymi strachu, żądz i pragnień. Marvin nieraz czekał na tę chwilę. Usłyszeć Głos, rzucić wieczną walkę o przetrwanie i zrozumieć wreszcie, jaki los spotkał pozostałych ludzi-śmieci. Teraz, kiedy było już tak blisko, dałby naprawdę wiele, by wezwanie nigdy nie nadeszło.

Dzwon!

Dzwon!

Ostatnie jesienne liście tonęły w błotnistych kałużach. Dni były coraz chłodniejsze. Marvin owinał się poszarpanymi kocami, ułożył przy ścianie ruin i patrzył na ciemne niebo. Jak co noc wyrzucał życiu łatwość, z jaką straciło go do roli bezdomnego, a brudne, skostniałe ręce nie chciały już zacisnąć się w pięści.

– Niedługo to się skończy – mruknął niespokojnie.

Mówił do siebie coraz częściej. Odkąd Kulawy Yossu wyruszył za wezwaniem, Marvin nie miał się do kogo odezwać.

Dzwon!

Dzwon...

Ciężkie powieki powoli uwalniały go od bólu i myśli. Włóczęga opuszczał przegniły padół, płynąc nie w mrok, jak zazwyczaj, lecz ku dziwacznej krainie, która z czasem wypełniła go obietnicą, jakich doświadcza się jedynie w iluzjach i marach. Zasnute ciemnością urwisko. Czerwone, kruszejące mury otulone gęstą mgłą. Kilka rzuconych niezgrabnie kości układających się w napis: Ugbaz. A gdzieś głęboko w wilgotnych podziemiach światło. Ciepłe, cudowne...

Ocknął się nagle, równo ze słońcem, czując przyjemny podryg nadziei. Widział Zamek Wskrzeszenia. Odkrył światło. I było tak... tak niewiarygodnie dobrze. Marvin nie ufał temu stanowi, ale jego wewnątrz maniakalnie domagało się więcej. Wciąż nie w pełni przytomny, włóczęga podniósł się i na chwiejnych nogach podjął poszukiwania twierdzy. Głuchy dźwięk dzwonów niemal zupełnie ustał. Człowiek-śmieć maszerował przed siebie, ignorując słabość oraz głód i czekał na moment, gdy przyjdzie mu zmierzyć się z Głosem.

Kolejne dni marszu nie przybliżały go do celu. Marvin z coraz większą frustracją błądził przez obce ziemie, rozważając ile jeszcze przyjdzie mu się tułać na ślepo w nierównej walce z niedożywieniem. Zaczepiani ludzie ignorowali łachmytę o twarzy bladej jak u Śmierci,

a tych kilku, których zdołał zmusić do rozmowy, rozkładało ręce na pytania o Ugbaz i Zamek Wskreszenia.

Zimę przetrwał z najwyższym trudem. Głos nie przemawiał. Po twierdzy wciąż nie było ani śladu. Rwany skowyt żołądka budził Marvina na długo przed świtem, mróz przebijał cienką koszulę, chłoszcząc mizerne ciało. I tylko sny każdej nocy zabierały go ku światłu, obiecując ciepło i błogi spokój.

Chce mnie uległego – pomyślał. Poczekaj, aż głód odbierze mi resztki sił, a gdy znajdę się na skraju wyczerpania, przemówi.

Włóczęga zmusił się do zaciśnięcia pięści. Zamierzał rzucić wyzwanie Głosowi. Wykorzystać go. Skoro żaden człowiek-śmieć nie zdoła uniknąć wezwania, trzeba je przyjąć, ale nie można dać się zniewolić. Tak jak wszyscy pozostali. Jeśli światło nowego życia okaże się ułudą, Marvin ucieknie.

Zmierzał dalej w nieznaną, karmiąc się nienawiścią do świata i myślał tylko o tym, by odkryć, jak skończyli dawni towarzysze. Któregoś wiosennego poranka usłyszał:

### ***MARVIN ODRÓDZONY!***

Mroczny, chrypliwy Głos zwałił go na kolana. Włóczęga spróbował się poderwać, zaprzeczyć własnej uległości, ale słowa wezwania z niepojętą siłą rozbiły w nim całą determinację. Marvin skulił się w sobie jak dziecko. Później rozejrzał na wszystkie strony. Nikogo. Oszołomiony spróbował pozbierać myśli, ale w głowie wciąż huczało mu od zawołania.

Coś pchnęło go do marszu. Szedł bezwolnie, intuicyjnie wybierając kierunki, aż nogi zawiodły go do Ugbaz. Kraina wyglądała na opuszczoną.

Człowiek-śmieć przysiadł na niewielkim wzniesieniu, by odpocząć po trudach wędrówki. Gdy odruchowo zaczął się rozglądać za pożywieniem, dotarło do niego, że przestał odczuwać głód i zmęczenie.

– Nie, nie tak – bełkotał, usiłując odzyskać kontrolę nad ciałem. – Zamek musi być blisko. Trzeba ich szukać, ale... nie wolno dać Mu się zniew...

### ***IDŹ!***

Krótką komendą wstrząsnęła zebraczym ciałem. Piekielny Głos rozsadał czaszkę tak, że z oczu włóczęgi zaczęły płynąć łzy. Człowiek-śmieć zachwiał się, złapał za głowę. Upadł.

Ból świdrował, wwiercał się, jak gdyby chciał rozsadzić włóczęgę od środka. Gdy w końcu ustąpił, niewidzialna siła pchnęła Marvina do biegu.

Po bokach ścieżek straszyły zniszczone domostwa. Włóczęga zataczał się jak pijany, prac posłusznie ku sercu krainy – wszystko byle tylko Głos nie wstrząsnął nim ponownie.

– Zawróć! – Usłyszał w pewnym momencie, a gdy przystanął, ujrzał zdyszanego starca o twarzy tak zmęczonej życiem, jakby brnął przez nie jedynie za karę.

Marvin przyklęknął. Jego dłoń zupełnie sama zaczęła kreślić na drodze linie, które z czasem ułożyły się w obraz twierdzy nad urwiskiem.

– Jeśli masz choć trochę rozumu, zawróć! – powtórzył tamten.

Włóczęga wskazał dłonią na rysunek zamku, po czym wbił w starca mroźne spojrzenie.

– Znasz? – zapytał szorstko.

Później spojrzął na swoje dłonie i zamarł. Przecież nie chciał tego powiedzieć. Przecież nie chciał tego narysować...

Starzec skinął głową, podszedł bliżej i drżąc, starł obraz zamku, w którym, jak twierdził, mieszkał sam diabeł.

– Byli tu już tacy, jak ty. Tułacze, szelmy o mrocznych twarzach – wyjaśniał, a jego dłonie zaczęły się trząść. – Żebyś widział ich spojrzenia. Obląkane, żądne mordy... – urwał, walcząc z drżącymi wargami. – Pchali się do tej przeklętej twierdzy, jakby... jakby coś ich opętało. Żaden nie wrócił.

### **ZABIJ!**

Głos ponownie przemówił do Marvina. Wciąż lodowaty i mroczny, tym razem jednak nie zadał mu bólu.

– N-nie – jęknął bezgłośnie włóczęga.

Nie... daj... się... zniewolić – pomyślał z trudem. Tak, to z całą pewnością była jego myśl.

Więc trzeba próbować. Bronić się. Marvin poczuł napływ gorąca.

– J-jak... sko... skończyli? – wydukał z taką determinacją i cierpieniem, jakby każde słowo paliło żywym ogniem.

– Jednego wyłowili z pobliskiej rzeki – odparł starzec i wsparł ręką słabnącego włóczęgę. – Drugi błąkał się bez celu, a jak on mówił! Żebyś go widział... Nigdy wcześniej nie słyszałem tak straszego języka.

## **ZABIJ! ZABIJ! ZABIJ!**

– Aaaa!!!

Znów ten niehumaniczny ból. Głos zwałił Marvina na kolana i hucząc raz po raz uparcie powtarzając komendę, usiłował zmusić go do posłuszeństwa.

– Re... reszta – wyszeptał włóczęga i upadłszy, wił się na ziemi, jakby jego głowa miała eksplodować. – Co z resztą? – powtórzył na skraju przytomności.

– Reszty nigdy więcej nie widziałem. Chodź, zabierzemy cię stąd.

## **ZABIJ!!!**

Marvin poczuł, jak dwie trzęsące się ręce usiłują podnieść go z ziemi. Nie widział ich dobrze. Przed oczami miał mgłę. Wciąż torturowany kolejnymi huknięciami Głosu balansował na granicy świadomości i dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że w prawej dłoni ściska kamień, a ciało tego, który usiłował mu pomóc, zalega już bez ruchu na ziemi.

## **2**

Nie pamiętał, co działo się z nim później. Chyba biegł. Tak, prawie na pewno. Kiedy doszedł do siebie – niebo spowijał już wtedy mrok – zdał sobie sprawę, że ma w zasięgu wzroku poszukiwane urwisko. Było łyse, pozbawione choćby źdźbła trawy. Nad tajemniczym zamkiem unosiła się gęsta mgła. Zabiłem człowieka – Marvin teraz dopiero naprawdę zrozumiał, do czego zmusił go Głos.

– Naprawdę zabiłem – wymamrotał, patrząc tępych wzrokiem na zamek.

## **NADCHODZI CZAS ODRODZENIA!**

Głos, znacznie subtelniejszy, obudził głęboko uszpioną dumę. Włóczęga ujrzał obraz parszywych dni, gdy posiłkiem bywał mu nawet szczur.

Tylko spokojnie – pomyślał, z trudem łapiąc oddech. Nie mógł już zawrócić. Tutaj czekała na niego jedynie tułaczka, więzienie lub śmierć. Trzeba szukać światła. Starzec widział przecież jedynie dwóch, a po pozostałych nie było nawet śladu. Może naprawdę znaleźli nowe życie?

Człowiek-śmieć wkroczył do wnętrza zamczyska. Minął korytarz, przemknął po schodach, a choć nie był tu nigdy wcześniej, wiedział, jaką iść drogą.



Zatrzymał się na krańcu lochów. Stał, wpatrzony w odrapane mury, aż wreszcie tchnięty nowym impulsem, przyłożył do nich ucho.

### ***ŚWIATŁO NOWEGO ŻYCIA!***

– Światło nowego życia – powtórzył bezmyślnie włóczęga.

Ściany się rozsunęły.

Zamarł. Przed sobą miał podziemny grobowiec o schodach ułożonych z kości. Ściany straszły setkami czaszek, których puste oczodoły zdawały się łypać na Marvina. Niżej wisiało coś na kształt linowego mostu o szczებlach i poręczach z ludzkich kręgosłupów. Smród zgnilizny przemknął przez nozdrza włóczęgi, zatańczył na wnętrznościach, szarpnął raz, drugi, trzeci. Włóczęga zwymiotował.

### ***IDŹ!***

Coś pchnęło go do przodu. Głos, pozornie nęcący, mroził swym nieznoszącym sprzeciwu tonem. Człowiek-śmieć zszedł po schodach, wkraczając na koszmarny most. Stopy zapadały się w szczებlach tak wąskich i słabych, że tylko wola Głosu zdawała się chronić Marvina przed runięciem w przepaść. Chciał przyspieszyć. Biec. Wszystko, byle tylko poczuć pod nogami grunt.

Most tańczył nad czarną przepaścią. Włóczęga ostrożnie przesuwiał się naprzód, a ilekroć stawiał kolejny krok, serce podchodziło mu do gardła. Usłyszał odgłos szurania, natychmiast odwrócił się w panice i dostrzegł, że ściany u wejścia grobowca zaczęły zmierzać ku sobie.

– Nie – jęknął.

Ostatni szczebel. Zszedł, odetchnął głęboko i wtedy dopiero desperacko zapragnął wydostać się na zewnątrz. To na nic – przemknęło mu przez myśl. Nie zapanuje nad wolą Głosu. Trzeba iść za wezwaniem.

Wszedł w najbliższy z korytarzy. Gdy przyjrzał się jednej ze zdobiących ściany czaszek, przez trupie oblicze przemknął obraz zagubionej, posępnej twarzy. Nie kojarzył jej. Nie odważył się też spojrzeć na inne. Gdy miraż znikł, Marvin poczuł zawroty głowy. Zakołysał się, przyklęknął i pozostał w tej pozycji, aż znów był gotowy do poszukiwania światła.

Błądził kolejnymi korytarzami. Każdy z nich zdawał się wyglądać tak samo. Ze ścian straszły przekłute czaszki, drogę zdobiły ludzkie szczątki, a w powietrzu unosił się smród uryny. Gdziekolwiek zalegały koszarne truchła. Nie były to ciała ani szkielety, lecz

zastygłe, jak gdyby w połowie rozkładu, zwłoki o kościach pokrytych cuchnącą mazią i gębach rozdziawionych w niemym wrzasku. Marvin omijał je na miękkich nogach.

Widok ten trochę go oprzytomnił. Reszta – rozważał nerwowo. Reszta nigdy stąd nie wyszła. Światło... nie, nie mogło ich tak po prostu zabić. Czym ono jest? Na czym polega nowe życie? Co z tymi dwoma, którzy wydostali się na zewnątrz?

Marvin rozglądał się szeroko otwartymi oczami, jakby w tej chwili otrzeźwienia chciał podjąć ostatnią próbę odzyskania zmysłów.



***IDŹ!***

Krótki, pełen zniecierpliwienia wrzask wstrząsnął ciałem człowieka-śmiecia, ucinając wszelkie rozważania. Ilekroć Marvin próbował zebrać myśli, ostry, pulsujący ból przeszywał jego czaszkę. Poddał się. Wymęczony cierpieniem, zataczał się jak wychłostany skazaniec, aż wpadł w ciemny korytarz oznaczony jego imieniem. Wnętrze oświetlały ledwie cztery pochodnie white bez respektu pomiędzy czaszki.

***MARVIN ODRODZONY!***

W głębi korytarza stał drewniany postument, na którym majaczył niewyraźny zarys trupiej głowy. Marvin szedł jak w transie, a z każdym krokiem jego myśli stawały się bardziej mętne. Niespokojny wzrok ugrzązł w pustych oczodołach, a powieki nie ważyły się nawet mrugnąć.

Pochodnie zgasły.

Marvin czuł, jak niewidzialna siła przemyka obok niego, smagając drewniany postument. Ziemia drżała, zaś wiatr łaskotał struchlałe ciało włóczęgi. W końcu ustał.

Pochodnie zapłonęły.

Na postumencie nie było już czaszki, lecz misternie odtworzona chuda twarz o oczach czarnych jak śmierć.

Marvin poczuł lodowate zimno. To... ja – pojął, nie mogąc złapać oddechu.

Włóczęga patrzył na swoje oblicze, tonąc w posępnych oczach. Głowa ciążyła jak głaz rozsadzany przez tumult chrypliwych wezwań.

### ***MARVIN ODRODZONY! MARVIN ODRODZONY! MARVIN ODRODZONY!***

Niczym w rojeniach znikwały czaszki, kości, katakumby. Z każdym oddechem ciało Marvina stawało się lżejsze. Tracił ręce, nogi, ustało bicie serca.

Włóczęga czuł się, jakby śnił na jawie. Spoglądając na postument, teraz jak gdyby z oddali, widział maszerujących ku niemu straceńców. W jednym z nich rozpoznał Małego Jima. Później pojawili się również Stary Bressard, Kulawy Yossu. Dotarłszy na miejsce, każdy – zupełnie jak Marvin – wpatrywał się we własną twarz. W pewnym momencie straceńcy zrywali się do biegu, a w ślad za nimi ruszała rażąca jasność. Włóczęga poczuł kolejny napływ zimna, pojmując, że to poszukiwane światło nowego życia. Jasność przebijała się przez korytarze, a gdy dopadła uciekiniera, ten zatrzymywał się, patrząc bezradnie przed siebie bądź dotykał ścian niezdarnymi ruchami ślepeca.

Marvin, wciąż na granicy snu i jawy, poczuł przesywający wstrząs. Światło nowego życia... Ono całkowicie czyściło pamięć!

Próbował się ocknąć. Zebrać do ucieczki. Koszmar dalej ukazywał porażonych straceńców, którzy włóczyli się w mroku katakumb. Marvin widział ich chudnące twarze, słyszał dziwaczne zawodzenia. Przyglądał się nielicznym, którzy przypadkiem znaleźli drogę

do wyjścia, a maszerując bez świadomości, wpadali do rzeki, nie znając potęgi wody. Na końcu ujrzał jednego z ocalonych, władającego nie ludzką mową, który w rzeczywistości bełkotał jak małe dziecko.

***MARVIN ODRODZONY!***

Znajome wołanie wyrwało włóczęgę z transu. Przez moment nie wiedział, gdzie jest. Jego wzrok wciąż tonął w oczach swej idealnie odtworzonej twarzy.

Z daleka brzmiał odgłos rozchodzących się ścian. Marvin oprzytomniał. Trzeba uciekać, nim grobowiec znów się zamknie!

***MARVIN ODRODZONY!***

Przesunął palcem po policzku. Znów czuł ciało. Niewiele myśląc, rzucił się do ucieczki i gnał przez ciemny korytarz, tratując osobliwe truchła.

***MARVIN ODRODZONY! MARVIN ODRODZONY! MARVIN ODRODZONY!***

Potężny Głos rozsadzał mu umysł. Marvin biegł niezdarnie, coraz wolniej, raz za razem łapiąc się za głowę. Kolejne przejście. Mrok ustępował miejsca jasności. Włóczęga obejrzał się przez ramię i dostrzegł nadciągające światło. Później nie było już nic...